

TRADYCJA ŁĄCZY POKOLENIA



ASOS 2014-2020

Rządowy Program na rzecz Aktywności Społecznej
Osób Starszych na lata 2014-2020

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej

Publikacja powstała w ramach projektu „Tradycja łączy pokolenia” realizowanego przez Fundację „Krzyżowa” dla Porozumienia Europejskiego
Projekt dofinansowany ze środków Rządowego Programu na rzecz Aktywności Społecznej Osób Starszych na lata 2014-2020
Publikacja pod redakcją Aleksandry Królak - Wąsowicz

ALEKSANDRA KRÓLAK-WĄSOWICZ



TRADYCJA ŁĄCZY POKOLENIA

Szanowni Państwo,

Oddaję w Wasze ręce publikację przygotowaną przez Uczestników projektu „Tradycja łączy pokolenia”, realizowanego przez Fundację „Krzyżowa” dla Porozumienia Europejskiego.

Seniorzy biorący udział w warsztatach dziennikarsko - komputerowych spisywali swoje wspomnienia, z pokładów pamięci wydobywali przeżycia z czasów dzieciństwa, młodości, dojrzałości. Refleksji poddaliśmy także nasze korzenie. Skąd my, Dolnoślązacy, pochodzimy, na jakim gruncie wyrosła nasza tożsamość, jak stawaliśmy się tymi, którymi jesteśmy. Seniorzy podczas warsztatów dyskutowali także o głosie swojego pokolenia. Zastanawiając się, jakie momenty w dziejach historii wywarły na nich największy wpływ, wskazywali na kilkanaście z nich. Listę wydarzeń najczęściej wymienianych przez Seniorów znajdziecie Państwo pod koniec publikacji.

Całość ilustrują zdjęcia przekazywane przez Uczestników warsztatów. Są one na tyle czytelne i uniwersalne, że oddają klimat tamtych czasów. Dlatego też nie zawsze zdjęcie należące do jednego z Seniorów znalazło swoje miejsce przy jego wspomnieniach. I choć każda historia jest indywidualna i stanowi dla każdego wspominającego jego sakrum, to odnajdziecie Państwo podczas lektury punkty wspólne biografii Uczestników. Niech zatem te zdjęcia będą uniwersalnym świadectwem czasów, które wspominają Seniorzy.

Niektórzy z uczestników pragną pozostać anonimowi, inni z kolei, podpisując się pod wspomnieniami, chcą je przekazać swoim wnukom i prawnukom.

Niech zatem te wspomnienia będą głosem pokoleń urodzonych jeszcze w czasach wojny, czasach tuż powojennych i czasach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Zapraszam do lektury

„Ale nie depreczcie przeszłości ołtarzy, choć macie sami doskonalsze wznieść”

apeluje Asnyk w wierszu „Do młodych”, prosząc o szacunek dla doświadczeń starszych pokoleń, apelując o uszanowanie historii i dorobku tych, którzy powoli ustępują miejsca młodszym od siebie.

Ołtarze naszej przeszłości, bagaże wspomnień, doświadczenia życiowe i doświadczenia pokoleniowe to tylko część naszej tożsamości. Część, ale jakże istotna dla stworzenia nas takimi, jakimi jesteśmy. Co nas kreuje? Co buduje naszą tożsamość? Dlaczego jesteśmy takimi, jakimi nas teraz widzicie?



My, Dolnoślązacy, nosimy w sobie cząstkę Europy. My, emigranci, my dzieci przesiedleń, my obywatele Kresów Wschodnich i ziem zachodnich, my z Górnego Śląska, my z Mazowsza, my ze Lwowa i spod płonącej Warszawy. Z wiosek i miast. My z podwójnymi paszportami i my, którzy tych paszportów mieć nie mogliśmy.

Oto nasze historie, oto nasze wspomnienia.

Rozdział I. Dlaczego tu? Dzieciństwo. summa doświadczeń naszych przodków.

Kazimierz Deptuła

Tym oto sposobem pragnę przekazać moje przeżycia potomnym. Czas szybko pędzi. Pewne rzeczy ulatują z pamięci. To, co jeszcze pozostało w mojej, przenoszę na papier. Bo to, co nie będzie zapisane w historii przepadnie bezpowrotnie i nie da się tego odtworzyć.

Zima się skończyła. Przyszła ciepła wiosna. Maj i czerwiec były ciepłe i pełne zieleni. Widać było, że świat zaczyna żyć swoim torem. Wiosenne widoki i aura dodawała otuchy do życia. Dlatego też w tej dacie – maj/czerwiec 1945 roku upatruję początku mojego życia, choć urodziłem się wcześniej.

Rodzice moi bardzo się kochali. Chociaż były to trudne czasy. Polskę ogarnęła II wojna światowa. Był rok 1939. W tym czasie rodzice moi mieszkali w Warszawie razem z moją babcią Rozalią – na Pradze, zwaną przez warszawiaków „szmulowizną”. Od września trwała wojna. Warszawa była bombardowana przez samoloty niemieckie. Moja mama, Eleonora, nazywana przez mojego tatę Leosią, nosiła mnie pod swoim sercem. Dobrze mi tam było, ale przyszedł czas, abym zobaczył inny świat. Nastąpiło to 7 marca 1940r. Do tego czasu upłynęło zaledwie siedem miesięcy od rozpoczęcia wojny. Zima wtedy była bardzo mroźna, ale to nie przeszkadzało, abym przyszedł na świat w Warszawie. Jako ciekawostkę dodam, że posiadam dwa dokumenty potwierdzające moje miejsce urodzenia. W dokumentach kościelnych mam wpisane, że urodziłem się w Warszawie, co potwierdzili moi rodzice i starszy brat. Natomiast w dokumentach Urzędu Stanu Cywilnego, że w Cierpiętach, gdzie mieszkali moi dziadkowie – Maria i Stanisław Wasilewski.

Działania wojenne wzmagaly się. Rodzice moi, mama Eleonora i tata Władysław, postanowili z obawy przed utratą życia wywieźć nas w bezpieczne miejsce. Zarówno mnie, jak i dwóch braci, starszego Władysława i młodszego Daniela rodzice zawieźli do Cierpiąt na Kurpie – 100 km od Warszawy, właśnie



do dziadków. Tam zamieszkaliśmy z rodzicami. Babcia Rozalia została w okupowanej Warszawie i jakoś przeżyła wojnę. W rodzinie byłem czwartym dzieckiem. Wcześniej, przede mną urodzili się Staszek, Kazik i Władek. Staszek i Kazik zmarli jako dzieci. Dlaczego? Nie wiem. Prawdopodobnie prawem buszu – słabszy odchodzi, mocniejszy zostaje. Po mnie urodzili się jeszcze Daniel i Apolonia. Mietek i Jakub zmarli także jako dzieci. Dziadkowie, rodzice mamy mieszkali na Kurpiach. W rzadko zabudowanej wiosce, w niewielkim drewnianym domku. Kurpie to region Polski zwany oazą zieleni, przez który, jak głosi historia, nigdy nie przechodził żaden front wojenny. Kiedy już się urodziłem, mama moja bardzo ciężko zachorowała i nie była w stanie karmić własną piersią. Ale wykaraskała się z choroby. Miesiąc wcześniej młodsza siostra mojej mamy, Marianna urodziła córkę Czesławę. Ponieważ mieszkaliśmy pod jednym dachem, rolę karmiącej mnie mamy przejęła moja ciotka.

Zatem, jak mówi przysłowie: „Pokorne cielę dwie matki ssie, a grymaśne żadnej nie”. Jak długo to trwało, nie wiem. Wojna zbierała swoje żniwo, a my spokojnie mieszkaliśmy na wsi, koło Baranowa w powiecie Przasnysz. Nie pamiętam zbyt wiele z tego okresu. To, co zapamiętałem – już opisuję dla dzieci, wnuków, prawnuków i tych, którzy może zechcą wspomnienia czytać i nie przeżywać tego, co przeżyłem ja.

Na wiosnę 1945 roku kończyła się wojna. Miałem wtedy zaledwie 5 lat. Rzadko już widać było czołgi, armaty i latające samoloty. Pewnego dnia, niedaleko od naszego domu na polu wylądował lub rozbił się mały samolot. Dziadek Stanisław i inni mieszkańcy pobiegli zobaczyć, co się stało. Kazał mi oczywiście zostać w domu z babcią. Byłem niezadowolony z takiego obrotu sprawy. Samolot, jak się okazało rozbił się, ale pilot przeżył. Tak przynajmniej powiedział dziadek, bo jak wrócił to powiedział, że nikt nie zginął. Ale nic więcej już nie usłyszałem.

Kończyła się wojna. Mieszkańcy naszej wioski dostali wiadomość, że na noc matki z dziećmi i starsi ludzie muszą zejść do zbudowanego w lesie bunkru. Była to ziemianka zbudowana z okrągłych bali, przysypana ziemią (piaskiem). Do tego bunkru było tylko jedno wejście i jedno okienko. Wewnątrz i na zewnątrz nie było ani światła, ani wody, ani toalety. W bunkrze było około 50 osób. Kobiety z dziećmi, starsi mężczyźni. Pamiętam była noc. Mój tato i inni mężczyźni prowadzili wartę obserwacyjną wokół bunkra. W pewnym momencie, obok okienka spadł pocisk. Ponieważ siedzieliśmy pod tym okienkiem posypał nam się na głowy i za kołnierze piasek. W pewnym momencie musiałem wyjść za potrzebą. Każdy bał się wyjść, bo słychać było strzały i warkot samolotów. W bunkrze był straszny tłok, wszyscy stali, nikt nie siedział. Wyszedł ze mną dziadek. Przykucnąłem, żeby się załatwić, a dziadek nad głową złorzeczył: „Też, psiakrew, nie miało ci się kiedy zachcieć, tylko jak samoloty nad głową latają!”. Wróciliśmy cali do bunkra. Jak długo tam byliśmy, nie pamiętam. I nie pamiętam, czy coś jedliśmy.

Kiedy wróciliśmy, to w naszym domu byli polscy żołnierze, którzy spali na podłodze. Wspomnę, że przed opuszczeniem domu tato i dziadek wykopali obok domu dół i zakopali w nim duże ilości żyta zmieszanego z plewami,

bo jak przeżyjemy, będzie na chleb”. Wróciliśmy do sąsiadów. Było bardzo ciasno, bo było tam kilka rodzin z dziećmi.

O zmroku okna były zawsze zaciemniane, chociaż nie było prądu. Palily się tylko lampy naftowe i kaganki. Ale trzeba było okna zasłaniać, żeby samoloty nie widziały celu bombardowania. Był wieczór. Mamy nasze na kolację ugotowały kaszę jaglaną (z prosa). Tylko taka była. Okraszoną tłuszczem ze skwarkami wytopionymi a wcześniej zebrany- mi z jelit świńskich. Nie było to smaczne. Ten tłuszcz, smalec, był bardzo gorzki. Trudno było przełknąć. Ale nie było nic innego. Zjedliśmy i poszliśmy spać, jak śledzie. Jak długo to trwało, też nie pamiętam.

Na wieść o końcu wojny zapanowała ogromna radość. W środku wsi stała remiza strażacka. W niej czerwona pompa strażacka z ręcznym napędem z dwóch stron – tzw. „moja – twoja, twoja – moja”. Na podłodze leżały ziemniaki, które powoli zaczynały się psuć (gnić) i strasznie śmierdziały. Większość mieszkańców posprzątała remizę i przygotowała ją na wielki bal zwycięstwa. Grał jakiś miejscowy grajek na harmonii. Świętowano do białego rana. My, jako dzieci, też bawiliśmy się razem z dorosłymi, ganiając się po remizie i na zewnątrz. Było to w dzień.

Życie toczyło się dalej. Żeby było co jeść, rodzice ubili wieprzka. Kiedy rozpołowiony wisiał już pod sufitem, ktoś dał znać, że żandarmi są w wiosce. No i konsternacja, co robić? Wieprzka szybko zdjęto i schowano go w łóżku pod pierzyną, jakby nigdy nic się nie działo. Kobiety szybko posprzątały. Tak oszukano żandarmów. Chociaż nie wiemy, czy to była tylko plotka, że krążyli po wiosce, czy prawda.

Pewnego dnia, w domu była tylko mama. Zobaczyła przez okno, że drogą jedzie wóz konny z żandarmami a za wozem przywiązany mężczyzna. Na rozkaz mamy wszyscy trzej schowaliśmy się pod drewniane łóżko, na którym sypialiśmy. Kiedy żandarmi minęli nasz dom, mama pozwoliła nam wyjść spod łóżka, a było to łóżko wypełnione słomą żytnią w sienniku. Kiedy odwiedziłem tę miejscowość po siedemdziesięciu latach, domu już nie było. Została tylko studnia, a tam, gdzie była remiza, stoi drewniany krzyż.

Nie było lekko. Nie było lekarzy, szpitali, aptek, leków. Brak było środków do mycia i prania. Panował świerzb i wszawica. Z tych to powodów i my zachorowaliśmy na świerzb. Choroba brudnych rąk. Ponieważ nie było na to leku, rodzice leczyli nas domowymi sposobami. Uzbierali gdzieś końskich odchodów (łajno) do blaszanego wiaderka. Rozrobili to z ciepłą wodą na papkę. I byliśmy tą papką smarowani od stóp do brody i na noc zawijani w lniane prześcieradło. Tak spaliśmy całą noc. Trudno opisać, jakie to było uczucie. Taki zabieg powtarzano kilka razy. Po kuracji kąpiel w drewnianej bali. Po nocy rano byliśmy umyć, a wieczorem powtórka. W taki sposób wyleczono nas ze świerzbu, który już więcej nie powrócił. Było to jednak bardzo nieprzyjemne, cuchnęliśmy przez całą noc. Czuć było pieczenie a potem okropne swędzenie całego ciała. Nie wolno było drapać się. Kto się podrapał od razu dostawał po tzw. łapach. A kto nie słuchał, to miał wiązane ręce z tyłu.

Rodzice nie posiadali żadnej ziemi. Mama nie pracowała. Pracy nie było. Była analfabeta do końca swojego życia. Tato zajmował się handlem. Przywoził materiały, tzw. perkale, barchany, flanele i sprzedawał. Tak żeśmy żyli przez jakiś czas.



Po zakończeniu wojny i po opuszczeniu domostw przez rodziny niemieckie na Warmii i Mazurach przesiedlono nas. Wozami konnymi przewieziono nas i kilkanaście innych rodzin do punktu rozdziału zasiedlenia po niemieckich osadnikach. Trafiliśmy do wioski Olszyny koło Szczytna. Kiedy dorosli czekali na przydział domostw, dzieci bawiły się wokół budynku. Obok była spalona szkoła. Tam znalazłem coś podobnego do wiecznego pióra atramentowego. Takie coś widzieliśmy u naszego taty. Wróciliśmy z tym do budynku, gdzie było bardzo dużo dzieci i dorosłych.

W pewnym momencie mój starzy brat Włodek zaczął rozbierać to, co znalazłem. Nastąpił wybuch. Okazało się, że jest to jakiś zapalnik. Ktoś krzyknął: „Rzuć to!”. Brat puścił to z rąk i spadło na podłogę. Ludzie zaczęli uciekać oknami i drzwiami. Ciotka moja, Zosia, podbiegła po swoich dwóch synów Staszka i Kazika, siedzących na stole obok nas. Ja stałem obok. Ktoś krzyknął: „Zosiu, masz pełne pantofle krwi”. Zapalnik ten rozerwał się na kawałki na podłodze. Najbardziej ucierpiała ciotka Zosia i ja. Okazało się później, że w moim ciele utkwiło około 50 odłamków. Począwszy od kostek u nóg, do powyżej pępka na brzuchu. Jeden, wielkości ziarna pszenicznego, pozostał w moim ciele do dziś. Żyję z tym odłamkiem w przyjaźni już ponad 70 lat.

Dostaliśmy wreszcie przydział domostwa. Razem z ciotką leżeliśmy w domu ponad dwa tygodnie, lecząc rany sfermentowanym zacierem z mąki żytniej, owijanym lnianymi szmatkami. Zaraz po wybuchu tego zapalnika nasze nogi owijano liśćmi z rabarbaru i łopianu, i dartymi paskami z lnianych prześcieradeł. Innego wtedy nie było. Po kilkunastu dniach obkładania ran, odłamki zaczęły ukazywać się w naszym ciele otaczając się ropą. Kiedy już były widoczne, tato mój czyścił te rany ostrym czubkiem noża. Wyjmował z moich ran odłamki. I tak zostałem wyleczony. Rany zagoiły się. Oczekując na ostateczny przydział domu przejściowo gościnnie mieszaaliśmy wraz z dwiema kobietami pochodzenia niemieckiego. W ciepłe, słoneczne dni wygrzewaliśmy się przed budynkiem na ławce w słońcu. Pewnego dnia jedna z tych kobiet powiedziała do drugiej: „Nie martw się. Przyjdzie jeszcze dzień, że i nam słońce zaświeci”. Co to miało oznaczać, nie wiem. Z tego, co mi wiadomo, wyjechały później za Odrę, do Niemiec.

Wieś nazywała się Czajki Nowe w gminie Świętajno. Wreszcie zamieszkaliśmy na swoim. Jadąc do wskazanego nam gospodarstwa, niedaleko przed celem podróży napotkaliśmy leżącą na drodze minę – niewybuch, wielkości dużego bochenka chleba. Musieliśmy zatrzymać się. Mężczyźni wzięli jakiś koc lub coś podobnego i delikatnie wraz z ziemią usunęli na bok, abyśmy mogli przejechać. Nasze gospodarstwo to: budynek mieszkalny, stodoła i dwie obory, 20 hektarów ziemi i kawałek lasu. Tato nasz był bardzo zaradny. Nie mając nic, oprócz rąk zgromadził potrzebne maszyny i narzędzia do uprawy na roli, pozostawione przez Niemców.

Pędzono tzw. samogon, bimber, za który można było kupić wszystko. Na targu tata kupił konia, sybiraka. Nazwał go „Łubek”. Nieduży, ale pracowity. Potrafił ciągnąć wóz nawet na kolanach. Raz pamiętam, jak ciągnął załadowany wyciętym z naszego lasu drzewem. Była późna jesień i ziemia była zamarznięta, śniegu jeszcze nie było. Blisko domu, na polnej drodze było takie zniżenie, dół. Kopyta ślizgały się. Koń podnosił się kilka razy z przednich kolan i razem z nami ciągnął ten wóz posuwając się właśnie w takiej pochylonej pozycji.

Konia lubiliśmy, ale on bardzo nie lubił, jak był głodny, gdy mu przeskadzano w jedzeniu. Pewnego razu pasł się w ogrodzie, a ja chciałem go osiodłać i siaść mu na grzbiecie. Koń odwrócił się tyłem do mnie. W pewnym momencie strzelił mnie kopytami w klatkę piersiową. Wywinąłem ze trzy kociołki do tyłu i zabawa skończyła się.

Ponieważ za bimber można było kupić wszystko, toteż tato zrobił zacier ze zboża w dużej wannie, stojącej na ganku. Zacier był już gotowy do przeróbki, kiedy dostał wiadomość od sąsiadów, że jest kontrola we wsi. Szkoda było wylać, a za pędzenie bimbru była kara. W oborze, w której stał koń, w oborniku wykopano szybko duży dół i wraz z wanną zakopano zacier, przykrywając go nie do poznania. Obornik koński daje dużo ciepła. I tak uratowano zacier. Jak ucichło, to z tego zacieru wyprodukowaliśmy bimber. W sadzie umieszczono wytwórnię. A pieczę nam nim tato powierzył nam. Wtedy to, jako dziecko poczułem smak alkoholu. Mając 8-10 lat maczaliśmy palce w bimbrze i je oblizywaliśmy. Babcia zauważyła, że jesteśmy za bardzo weseli, bo biegaliśmy po podwórku i ganialiśmy kury. Powiedziała tacie i zabawa się skończyła. Kazano iść nam do domu i za karę spać.

Pewnego dnia, nie pamiętam dokładnie o co chodziło, ale ktoś dał znać, że szukają mojego tatę. Musiał się gdzieś schować. Ale gdzie? Padł pomysł, że w szopie na drzewo na zimę. Zrobiono miejsce i tam tato się schował. Obłożyliśmy go drzewem i pociętymi gałęziami przygotowanymi na zimę. Byli jacyś cywile, szukali taty wszędzie, ale nie znaleźli. Tato ocalał.

Broni było pełno wszędzie, na strychu, w oborze, itp. Można by z tego uzbroidć cały pluton wojska. Władze wydały zarządzenie, aby zdać wszelką

broń. Pozbieraliśmy to wszystko i tata kazał nam wrzucić to do stawu, który to później zasypano. Z goryczą pozbywaliśmy się tych zabawek.

Trzeba było iść do szkoły. 1 września 1947 roku. To już dwa lata, jak zakończyła się wojna. Życie wokół już ustabilizowało się. Pierwszy raz do szkoły zaprowadził mnie tato. Mieszkaliśmy na tzw. kolonii. Do szkoły było niedaleko, bo około jednego kilometra. Polną drogą. Wioska, w której była szkoła, liczyła 12 domów. Szkoła mieściła się prawie po środku. Był to mały budynek mieszkalny z małym podwórkiem, na którym bawiliśmy się w berka. Szkoła miała tylko dwa pokoje. W jednym odbywały się lekcje dwóch klas – pierwszej i drugiej jednocześnie. Jedna klasa miała ciche zajęcia a druga głośne. W sumie kilkanaście osób. W dużym pokoju była szatnia i jedliśmy tam posiłki. Były dwie nauczycielki od wszystkiego. Kierowniczką, Teresa Buchna – pochodząca z Pasymia koło Szczytna. Piękna, zgrabna, wesoła kobieta, lecz bardzo wymagająca. Druga, Bolesława Dobrowolska, pochodząca z Różana z Mazowsza. Mówiono na nią Bolka. Też ładna, zgrabna i zawsze uśmiechnięta. Uroku dodawał jej lekko zadarty nosek do góry. Lubilem chodzić do szkoły. Bo w szkole było fajnie. Ale kto rozmawiał i kręcił się na lekcji, siedział w „osłej ławce”. Pierwsza ławka z przodu. A kto nie odrobił lekcji, to zostawał po lekcjach w tzw. „kozio” co najmniej godzinę i musiał odrabiać zaległe lekcje. Do szkoły przywożone były gotowe, gorące obiady w postaci zupy lub czegoś innego. Z tak zwanej unry. Były smaczne. A na zakończenie roku przywieziono beczkę śledzi.

Rozpiętość wieku u uczniów była duża. Od siedmiolatek po osiemnastolatek. Przyszedł listopad, a jeden z moich kolegów, Franek Ostrowski, dostał powołanie do służby wojskowej. Było nam źle, że idzie do wojska. Później szkołę przeniesiono do innego budynku, do Czajk Starych. Był większy i miał więcej pomieszczeń. Na podwórku bawiliśmy się w berka, węża, zbitą szklankę, dwa ognie, piłkę uszytą ze szmatek oraz w tzw. palanta. Do szkoły przyjeżdżało raz w miesiącu kino objazdowe. Dorośli mieszkańcy, którzy nie umieli czytać ani pisać, uczęszczali na kurs dla analfabetów. Tato mój miał ukończone cztery klasy, to nie musiał. Ale moja babcia, mama i dziadek chodzili do szkoły. Jednak z powodu braku czasu przerwali naukę i do końca życia pozostali analfabetami.

Po zajęciach w szkole pomagaliśmy w domu i w polu. Przy sianokosach, żniwach i wykopkach. Jako dwunastolatek kosiłem kosą trawę, zboże, wywoziłem obornik na pole i musiałem wykonywać wiele innych robót na roli. Mielenie zboża w żarnach, ściółkowanie zwierzętom, nawet dojenie krów. W wolnym czasie szliśmy do kolegów. Wchodziliśmy na drzewa, tam gdzie wrony i sroki miały gniazda. Wybieraliśmy im zniesione jajka i smażyliśmy na ognisku. Pewnego dnia Pani Woźna poprosiła nas, aby zrzucić gniado sroki z wysokiego drzewa obok szkoły, bo zabierała jej małe pisklęta kurcząt. Weszliśmy i zrzuciliśmy. Za to zaprosiła nas na obiad, na porządnego schabowego.

Latem organizowaliśmy potańcówki, tam, gdzie wolny był pokój czy na zielonej trawie. A przygrywał nam Józek Gut, niewidomy, na pedałówce. Kiedy zbierało się na burzę, babcia wychodziła na podwórko z wodą święconą i kropidłem, i rozganiała ciemne chmury burzowe na cztery strony świata.

Leków dalej nie było, toteż stosowano medycynę ludową. Młode liście olchy na przykład używano tam, gdzie było zapalenie skóry. Leczone tak czyraki, wrzody. Liść babki lancetowatej służył do gojenia ran po skaleczeniach. Lizol rozcieńczony do koloru kawy z mlekiem do leczenia wszelkich ran.

Prądu ani gazu nie mieliśmy. W mieszkaniach używane były lampy naftowe i kaganki. Lekcje też odrabialiśmy przy takim świetle. Dzień kończył się wraz z nadejściem zmroku.

Chleb pieczony był raz na tydzień. Zawsze w piątek. Świniobicie było na Wielkanoc i Boże Narodzenie. Mięso na obiad było tylko w niedzielę. Kąpiel w bali drewnianej raz w tygodniu. Jak się było głodnym, to kromkę chleba moczyło się w wodzie, posypywało cukrem i jadło. Albo kromka polana olejem lnianym i posypana solą kamienną. Lub kromka ze smalcem, jeśli był. Ale nikt nie narzekał. Na Wielkanoc malowane były jajka w wywarze z łusek cebuli z dodatkiem octu. Na Boże Narodzenie obowiązkowo choinka i ozdoby robione własnoręcznie. Mikołaj i drobne upominki oraz specjalna potrawa wigilijna, ślepy śledź w kawałkach – z cebulą, octem, cukrem i pieprzem.

Do szkoły było blisko, za to do kościoła na religię było daleko, bo aż 6 kilometrów szutrową drogą i przez las. Szliśmy grupką zaraz po lekcjach z wę-

zelkiem chleba w chusteczce. Pewnego razu przez starszych moich kolegów wyzywających jednego z mieszkańców pochodzenia niemieckiego zostałem skopany tak, że aż się posikałem. Dopadli mnie, bo starsi uciekli. Często na religię szliśmy lasem omijając wioskę, bo napadano na nas, bito kijami i szczuto psami.

Nie było też wesoło w kościele. Dzieci było dużo, w różnym wieku. Jedni spokojni, inni nie. Religii uczył nas ksiądz, około pięćdziesiątki. Później, przed komunią przepytywał. Jak ktoś źle odpowiedział, obrywał lanie. Dostałem i ja. Wszedł do ławki naprzeciwko mnie i pytał. O co, nie wiem do dziś. Widocznie odpowiedziałem źle. Zostałem za to uderzony dłonią w twarz aż zobaczyłem gwiazdy i wielu moich kolegów. Moją siostrę cioteczną, Czesławę, siedzącą z brzegu ławki też uderzył, że uderzając o ławkę rozcięła skórę na głowie i połała się krew. Niesfornych, kręcących się, rozmawiających lub tych zasypiających ze zmęczenia bił po głowie dwumetrowym kijem do zapalania i gaszenia świec. A po uderzeniu wyrastały tzw. śliwki.

Miałem wtedy 8-9 lat. Ksiądz dopuścił mnie do komunii. Po uroczystości dostałem od rodziców 100 zł. Było to i dużo, i mało. Nie wiedziałem, co mam zrobić. Niedaleko był sklep spożywczy. Poszedłem i kupiłem kawałek kiełbasy i zjadłem, bo przed komunią kilka godzin nic nie jadłem. Za resztę kupiłem cukierki landrynkowe długości ołówka, które to po nagraniu w buzi można było wyginać w różne figurki, bo były miękkie. Cukierki porozdawałem, kto tylko był.

I taka była ta moja Pierwsza Komunia i moje dzieciństwo.

KRYSTYNA SZELĄG

Urodziłam się 3 października 1939 roku w Rudzie, powiat Skierniewice. Moja rodzina pochodzi ze Wschodu, mama z Woli Guławskiej powiat Łuków, tata również z tej miejscowości. Tam się pobrali, ale później wyjechali do Lublina a następnie do Wrocławia, a mama po wojnie do Bielawy razem ze mną i bratem Stefanem.

Moje dzieciństwo podczas wojny do piątego roku życia przeżyłam w Rudzie pod Skierniewicami. Był to okres dla mnie jako dziecka normalny, choć żyłam w strachu i niepokoju.

Nigdy nie zapomnę czasów wojennych. Zawsze widzę palącą się Warszawę. Łuna była tak ogromna, że było ją widać aż w Rudzie. Pamiętam widok palącego się młyna i tartaku niedaleko naszego domu.

Może to nieprawdopodobne, ale najwspanialsze wspomnienie mam z mojego chrztu. Miałam trzy latka. Do chrztu jechałam bryczką, wystrojona byłam w białą sukieneczkę. Moją matką chrzestną była nauczycielka ze Skierniewic, a ojcem chrzestnym był wójt.



W czasach, kiedy byłam dzieckiem, wydawało mi się, że wszystko jest tak, jak trzeba, że tak ma być. Nie miałam porównania, że może być inaczej. Bez strachu, bez wojny. Nasze wszystkie zabawy były jednak spontaniczne i wesołe. Mama nie zakazywała niebezpiecznych zabaw, nikt nie martwił się, że możemy sobie zrobić krzywdę. Ale były i spokojne zabawy, m.in.: bawienie się w piasku i ze zwierzętami, takimi jak kozy, króliki, koty, psy. Miałam tylko jedną koleżankę, która mieszkała kilka metrów od naszego domu.

Po wojnie przyjechaliśmy do Wrocławia. Rozpoczęłam naukę w szkole podstawowej. Bawiliśmy się na gruzowiskach zbombardowanych kamienic. Znajdowaliśmy tam różne przedmioty, guziki, nici, wstążki. Biegaliśmy po dachach kamienic, bawiliśmy się w chowanego między komunami. Bawiliśmy się też na trzepaku, robiliśmy różne sztuczki, graliśmy w klasy i skakaliśmy na skakance ze sznurka.

Z powodów rodzinnych wyjechaliśmy do Bielawy. Tu znów poszłam do szkoły. Wtedy miałam już więcej koleżanek i kolegów w różnym wieku.

URSZULA RADZIKOWICZ

Rodzice moi jako młodzi już małżonkowie, wyjeżdżają z rodzinnych wsi w poszukiwaniu lepszego jutra do miasta. Osiedlają się w Dzierżoniowie w 1947. Tato podejmuje pracę i dostaje niewielkie dwupokojowe mieszkanie w bloku. Wkrótce w 1948 roku rodzi się moja najstarsza siostra. Potem brat, a ja jako trzecie już dziecko przychodzę na świat w 1952 roku. Mama opiekuje się nami troskliwie, by niczego nam nie brakowało. Po sześciu latach rodzi się mój najmłodszy brat, którego, jako sześciolatka już dziewczynka, dobrze pamiętam.

Wracają obrazy mojej zatroskanej i zmęczonej mamy, której brakowało czasu na odpoczynek. Czwórka dzieci, no i niedostatek, dawały się jej we znaki. Tato pracował także i po godzinach, by zarobić na nasze utrzymanie.

Z opowieści mamy, już kiedy byłam trochę starsza, pamiętam, jak mówiła, że często spychałam z jej kolan brata. Przecież on też był jeszcze malutki, ale to ja chciałam być też przytulana. Pamiętam też opowieści rodziców o wojnie. Moja mama jako szesnastoletnia dziewczyna straciła siostrę. Były obie na polu i zbierały ziemniaki, akurat przechodził front i odłamek bomby z samolotu trafił siostrę mamy. Niestety w drodze do szpitala zmarła.

Mój tato stracił rodziców, a potem wychowywała go bardzo bliska ciocia. To były dla nich bardzo bolesne wspomnienia, ale wracały w opowieściach. A moje relacje z rodzeństwem jakie mogły być? Chyba dobre, choć nie brakowało bójek i kłótni. Cała nasza czwórka była w jednym pokoju, dość ciasnym. Wieczory głośne, choć uciszał nas najczęściej starszy brat.

Utkwił w mojej pamięci jeden incydent: miałam sześć lat i lubiłam opierać się o stół i o szafkę w kuchni i tak huśtać się. Mój brat dla zabawy popchnął mnie z tyłu, a ja upadłam na rękę. Pamiętam, że bardzo bolało więc płakałam. Kiedy nadeszła mama, to siostra i brat zabronili mi mówić, co się stało, więc solidarnie ich kryłam. Poszliśmy jak zwykle do pokoju spać, a ja wciąż popłakiwałam. Jednak mama, która coś przeczuwała przyszła do pokoju. Skończyło się szpitałem i gipsem, bo ręka była złamana. Ale tak naprawdę byliśmy ze sobą, mimo,

że czasem zdarzały się podobne historie. W domu mieliśmy też obowiązki typu sprzątanie, pomoc w kuchni. Ja jednak najbardziej lubiłam zajmować się moim najmłodszym bratem. Asystowałam mamie przy kąpielach, ubieraniu i usypianiu, bo był niezwykle kłopotliwym beką.

Potem przyszedł czas szkoły, którą pamiętam chyba gdzieś od drugiej klasy. Byłam wtedy u Pierwszej Komunii Świętej i chyba przygotowania do niej i piękna biała sukienka utkwiły w mojej pamięci najbardziej.

Do szkoły miałam dość daleko, a ostatni odcinek był pod górę. Zimą to była frajda, bo mo na było się poślizgać na butach. Najczęściej szłam z moją koleżanką Basią z drugiego piętra, więc czas mijał nam szybko na opowieściach. Szkoła była blisko kościoła, więc na lekcje religii chodziliśmy do salki katechetycznej. Ksiądz bywał surowy, uciszał tych nieco głośniejszych uderzając wyciągnięte ręce linijką.

Nauczyciele też czasem bywali srodzy. Tak nam się wtedy wydawało, więc lepiej było zachowywać się poprawnie. Lekcje wszyscy odrabialiśmy sami, bo rodzice nie bardzo potrafili nam pomóc. Jednak pilnowali, żeby zeszyty były staranne. Chodzili na wywiadówki, pytali nauczycieli o nasze postępy. Z matematyki mogłam liczyć na pomoc starszego brata, bo dobrze sobie z tym radził.

Często w mojej pamięci wracają obrazy z wakacji. Myślę, że był to dla mnie czas radosny, chociaż nigdzie nie wyjeżdżałam. Rodzice rzadko odwiedzali swoje rodzinne strony, więc dziadków ze strony mamy chyba nam brakowało. Kiedy zaczynały się wakacje cała dzieciarnia z ulicy, a było nas sporo, bawiła się na podwórku przed blokami. Graliśmy w zbijanego, państwa – miasta,





specjalnym szkiełkiem graliśmy w klasy. Było bezpiecznie, więc prawie noc przyganiała nas do domów. Na pobliskich łąkach, my dziewczyny, zrywałyśmy maki, chabry i koniczynę i plotłyśmy wianki. To była też cudowna zabawa.

Święta były skromne, ale radosne. Wciąż pamiętam świeżą, pachnącą choinkę, którą tato przynosił z lasu. Potem wspólne ubieranie. Ozdoby robione przez nas, dzieci. Długi łańcuch z kolorowego papieru, klejony klejem robionym z maki, więc ręce nieźle się brudziły i kleiły. Wieszaliśmy jabłuszka i orzechy, no i świeczki na specjalnych spinaczach. Nie mogło też zabraknąć włosów anielskich i waty, która przypominała śnieg.

Często myślę o rodzicach, jak mimo biedy, wychowali czwórkę dzieci. Jak często byli zdeterminowani, bo czegoś brakowało, bo nie wystarczało pieniędzy. Ale zawdzięczamy im dobre wychowanie, które owocowało w naszym dorosłym życiu.

Pani Teresa

Mam na imię Teresa. Lat 68. Wspomnienia z mojego dzieciństwa przypadają na lata pięćdziesiąte. Rodzice ciężko pracowali na roli, ja byłam brana w pole. Nie było żłobków, przedszkoli. Na wsi była bieda. Nie mieliśmy pralki do prania, tylko była duża tarka do prania i balia (miska). Rodzice nie mieli sprzętu takiego, jak my teraz. Żelazko było na duszę, wkład grzało się w piecu. Piece były kaflowe. Jak byłam trochę starsza, to pamiętam już piece węglowe. Do czwartego roku życia nie miałam żadnych zabawek. Pierwszą zabawkę jaką miałam kupiła mi mama. Była to mała laleczka, Murzynek. Bardzo szybko mi zginęła. Po jakimś czasie znalazła się u kuzynów, rozwalona, w kilku częściach.

Pamiętam, jak raz mama poszła w pole, tata na ryby. A mnie zamknęli w domu, na piętrze. Nudziłam się, więc postanowiłam otworzyć okno. Chociaż było zadrutowane, to otworzyłam. No i teraz kombinuję, jakby tu zejść przez to okno. Ja taka mała, może pięcioletnia, okno tak wysoko nad ziemią. Sąsiad wyszedł z domu i widząc mnie na parapecie, krzyknął, żebym poczekała, to on przyniesie drabinę i zejść po drabinie. Teraz jestem pewna, że uratował mi życie. Ale dla mamy to był szok, jak zobaczyła z daleka otwarte okno. Od tego wydarzenia zostawałam u sąsiada. On był szewcem, pracował w domu. Miał synka starszego ode mnie o rok. Dokuczała mi samotność, więc wołałam do bociana, żeby przyniósł mi braciszka i na szóste urodziny braciszek był. Zostawaliśmy razem. Pamiętam jak chodził, jak wszystko jadł. Pamiętam też jedno lanie od taty, paskiem po tyłku. W nocy, śpię sama w łóżeczku, wstaję z płaczem, że chcę do mamy. I źle to się dla mnie skończyło...

Ludzie często siadali pod domami na ławeczkach i wspominali swoje rodzinne strony. Opowiadali, jak uciekali przed Rosjanami, później przed Niemcami, często zostawiając cały swój dobytek, domy, uciekali tak, jak stali. Jedli trawę, pokrzywę i to, co znaleźli na polu. Często głodni chodzili spać. W niektórych domach były głośniki. Nazywali je Kukuryźnik/Kolchoźnik. Przez radio podawali jakieś wiadomości.

Jak poszłam pierwszy raz do szkoły podstawowej z wujkiem, to objaśniał mi, kto to jest na portretach w szkole – Cyrankiewicz i Gomułka. Cieszyłam się że idę do szkoły. Umiałam się podpisać, mama mnie nauczyła. Uczyłam się średnio.

Po zajęciach opiekowałam się bratem i odrabiałam lekcje. Latem było też plewienie ogródka, przynoszenie węgla do pieca, wody ze studni do prania. Trzeba było pozamiatać dom, podwórko. Potem doszło też pasienie krowy. Kolonie znaleźmy z opowiadań. Miałam sześć lat, jak rodzice się rozwiedli. Pomagaliśmy mamie, jak umieliśmy. Mama nam mówiła, że jak nie będziemy się uczyć, to będziemy musieli pracować w PGR-ze. Postanowiliśmy, że będziemy się uczyć i pracować. Szkoła podstawowa zaspakajała moją ciekawość. Poznałam nowe koleżanki i kolegów. Z czasem nawet ich rodziców. Na przerwach graliśmy w klasy, chłopcy kopali piłkę, lub grali w palanta, a koło domu grałam z chłopakami w klipę (dwa patyki). Jak rodzice pozwalali wyjść na podwórko, to było wspaniale. Ale najpierw trzeba było odrobić lekcje. Pamiętam, że mieliśmy też trochę niebezpiecznych zabaw. Na przykład zjazd z pierwszego piętra po poręczu w szkole. Było dużo chętnych do tej zabawy. Ja też. Kilka razy mi się udało, ale jeden raz nie, spadłam na twarz, wybiłam dwa zęby, no i koniec zabawy.

W pierwszej klasie pisaliśmy ołówkiem, a od drugiej piórem i atramentem z kałamarza. To był dla mnie bardzo trudny okres. Nikt nie siedział ze mną przy lekcjach, rodzice się rozwiedli, a ja bałam się, że rozdzieli mnie z braciszkiem. Świat mój to tęsknota za tatą, brak poczucia bezpieczeństwa, mama ciągle w pracy, w polu, a ja tylko z bratem.

Irena

Moje dzieciństwo spędziłam na wsi, gdzie rodzice mieli gospodarstwo rolne: ziemię i zwierzęta. Do moich obowiązków należało zmiatanie obejścia, dostarczanie opału do pieca węglowego. Chodziłam do koleżanki, której siostra starsza chodziła do szkoły średniej i myśmy jako dzieci uczyły się pisać literek, jednocześnie bawiąc się lalkami. Bawiliśmy się też na strychu, gdzie były jeszcze ponemieckie rzeczy, pamiętam na przykład stary kredens, bawiliśmy się przy nim w dom, gotując obiady, tak na niby. Nie pamiętam, żebym jako dziecko miała zabawki, ale pamiętam, że miałam lalkę „Murzynek” i lalkę szmaciankę, z której czasami sypały się trociny, a ja płakałam. Mieszkanie opalane było piecem węglowym w kuchni, a w pokoju piecem kaflowym, woda w studni

na podwórku bardzo blisko domu. Jeżeli chodzi o pranie to bielizna najpierw była namaczana w letniej wodzie i pranie odbywało się w bali na tarce szarym mydłem, a później proszek „Ixi”. Jeżeli chodzi o mycie i higienę osobistą to był taki szampon „niebieski” do mycia włosów, a jeżeli nie było szamponu to włosy myliśmy szarym mydłem, ale trzeba było później płukać wodą z octem.

Jako dziecko pamiętam sąsiadów, którzy przyjechali z Kresów Wschodnich i sami potrafili robić mydło do prania z tłuszczu, który pozostał im ze świniobicia. Do tego tłuszczu dodawali sodę kaustyczną. Do dzisiaj pamiętam emaliowane brytfanny z tym mydłem a później mydło krojone w kostkę. Mieszkałiśmy blisko rzeki „Bystrzyca”, gdzie latem w upalne dni a szczególnie w sobotę z ręcznikami mężczyźni szli popływać, a jednocześnie myć się.

Z tą rzeką wiąże się moja nauka pływania. Woda wtedy była czysta, rękoma próbowaliśmy łapać małe rybki, które nazywały się płotki. Trudna to nauka była, ale jeden nauczył drugiego: żeby dłonie to znaczy palce były zawieszane i ruchy wykonywane a nogi na przemian uderzane o płaszczyznę, o lustro wody. Bardzo chciałam umieć pływać, bo to wśród dzieci, to było coś. Nauczyłam się i do dziś umiem pływać, i nie boję się wody.

Kiedy przychodziły wakacje to była łaba. Pracować trzeba było, ale nie było nauki. Stada krów wyganiane były na łąki i trzeba było ich pilnować, żeby nie zrobiły szkody, wyżerając u sąsiada buraki cukrowe.

My jako dzieci bawiliśmy się w dom: paląc ogniska i piekąc ziemniaki w popiele: chłopcy zrobili z dwóch cegieł i kawałka blachy piec a my przynosiłyśmy z domu produkty i garnki, i piekliśmy, i smażyłyśmy placki ziemniaczane i naleśniki. A kiedy przyszła pora zniw to stawialiśmy snopy, które były wcześniej skoszone i wiązane przez snopowiązałkę. A później czas młócenia tych snopów. Już po zwiezieniu ich do stodoły. Młocka polegała na oddzielaniu ziarna od pozostałej części. Naszym zadaniem było noszenie plew w koszach wiklinowych do pomieszczenia do tego przystosowanego. Plevy te były wykorzystywane zimą jako karma dla zwierząt. A kiedy przyszła zima, to na wsi słychać było dzwonki i my wybiegaliśmy z sankami, i dołączaliśmy się do kuligu i sanny. Na wsi w gospodarstwie były konie, a w zimie koń musiał mieć wybieg i ruch, więc były robione te sanny, żeby konie się wybiegały, a my mieliśmy fraj-

dę, jakiej teraz dzieci nie znają. Wracaliśmy z rumieńcami na twarzy, oblepieni śniegiem, w kompletnie przemoczonych butach.

Kiedy chodziłam do mojej koleżanki bawić się w szkołę, brałyśmy od jej starszej siostry coś do pisania i tak jak ona, uczyłyśmy się pisać. Mama koleżanki oznajmiła nam, że razem będziemy uczęszczać do pierwszej klasy. Bardzo chciałam umieć pisać i właśnie u Ani starszej siostry w drugim pokoju było pełno książek. Ani siostra, Marysia, miała bardzo dobrą opinię, bo wszyscy mówili na wsi, że będzie z niej dobra nauczycielka. Rodzice zapisali mnie do 1 klasy, pierwszy dzień zaprowadzili a następane dni trzeba było iść samej do szkoły wstępując po koleżanki i grupowo 2 km szłyśmy do szkoły. W szkole uczono nas, jak należy trzymać ołówek. Uczono nas pisać literki i stopniowo całego abecadła. Żeby nauczyć się dobrze i ładnie pisać, trzeba było przepisywać urywki z czytanek do zeszytów na zadanie domowe. W klasie na lekcji języka polskiego korzystaliśmy z czasopisma dla dzieci „Świerszczyk”. W naszej szkole obowiązywał strój ucznia: fartuch granatowy i biały kołnierzyk. Książki do następnych klas były odsprzedawane od poprzedniej klasy po obniżonej cenie. Książki, nowe egzemplarze, miały osoby bardzo dobrze uczące się – z nagrodami. Zeszyty i książki były oprawiane w papier szary lub kolorowy. Uczono nas pisać obsadką zakończoną stalówką i do tego atrament niebieski. W ławkach szkolnych były otworki na kałamarze i każdy uczeń mógł korzystać. W zimie kiedy dzień krótki, a wieczór długi, wyświetlane były projektorem bajki na ścianie i napisy pod obrazkiem, które trzeba przeczytać. Nauczyciel w szkole to wielki autorytet i osoba, którą darzono wielkim szacunkiem. Bardzo często zabawą edukacyjną była gra w państwa, miasta, rzeki, zwierzęta, rzeczy, rośliny. Kończąc szkołę podstawową, chciałam jeszcze coś osiągnąć, zdając egzamin do szkoły chemicznej. Szkołę średnią wybrałam dlatego, że dwie koleżanki starsze już uczęszczały do niej. Chodząc do szkoły, byłam dumna, że się uczę.

Historia mojego dzieciństwa jest jednak smutna. Mama odeszła tragicznie. Zostałam ja, siedmioletnia wtedy Irenka, moi bracia, 9 – 12 letni i roczna nasza siostrzyczka. W drodze było kolejne nasze rodzeństwo. Los widać chciał inaczej. Tato został z czwórką dzieci. Moi bracia zostali przy nim. Malutka siostrzyczka trafiła do sióstr mojej mamy. Ja do jej brata, do wujka, jednak



po roku wróciłam do taty, z tęsknoty i płaczu nie mogłam być poza domem. Moja siostra wróciła do nas, jak miała 7 lat. Po jakimś czasie w domu pojawiła się nowa kobieta. Ze swoją córeczką. Wiem, że ojciec nas bardzo kochał.

Z perspektywy tylu lat, gdy myślę o tych czasach, nie umiem opanować emocji i łzy same cisną się do oczu, więc w tym miejscu urwę moją opowieść.

LIDIA PRZEPIÓRSKA

Urodziłam się na Górnym Śląsku w Radzionkowie, w rodzinie robotniczej. Mieszkałam tam do piątego roku życia. Potem z mamą i rodzeństwem wyjechaliśmy na Dolny Śląsk do Wałbrzycha. Mama zawsze chciała nas wychować na porządnych ludzi. Dlatego też wymagała od nas dużo. Sama uczyła nas pokory do życia i ludzi. Uczyla nas kochać ojczyznę i służyć jej. Tutaj przykład: hasła odbudowy kraju, żeby nie było pustymi słowami, lecz poparte czynami. Było nas rodzeństwa sześcioro, każdy za każdego odpowiadał, pilnował, uczył, pomagał. Mama ciężko pracowała, więc prace domowe były podzielone w zależności od wieku. Na przykład bracia nosili

węgiel, rąbali drewno. My dziewczyny sprzątałyśmy, prasowałyśmy, myłyśmy naczynia.

Do szkoły podstawowej miałam bardzo blisko. Chętnie się uczyłam, miałam bardzo dobrych nauczycieli, którzy jednocześnie byli moimi wychowawcami. Moją ukochaną nauczycielką, która była dla mnie wzorem do naśladowania, była polonistka. Pani Lidia Lament. Uczyla nas wszystkiego od podstaw, higieny osobistej, kultury, szacunku do wszystkich i wszystkiego, co nas otacza. Była delikatna, piękna i skromna. Drobnutka osóбка z ogromnym sercem, wrażliwa na biedę ludzką. Miała ogromny wpływ na rozwój mojej osobowości. Zawsze była dla mnie autorytetem. Drugą osobą, która również miała wpływ na to, jakim jestem człowiekiem to nauczycielka geografii, pani Pelagia Chałdaś. Była samotną osobą, nie miała rodziny. Całe jej życie to niesienie pomocy innym ludziom, począwszy od swoich uczniów. Odwiedzała biedniejsze rodziny, pytając, jak im się wiedzie, w czym mogłaby pomóc. Pamiętam, że poprosiłam ją, aby pomogła mi skleić atlas geograficzny (z mnóstwem mapek), bo nie miałam taśmy klejącej przezroczystej, gdyż była zbyt droga. Pani Chałdaś zareagowała od razu, w sprawę zaangażowała moją koleżankę, Alicję Jędrzejak, córkę lekarki. Ala zaprosiła mnie do swojego mieszkania, gdzie po raz pierwszy zobaczyłam tak ogromne mieszkanie z dużym fortepianem w pokoju gościnnym. Pięknie razem z Alą Jędrzejak posklejałyśmy atlas geograficzny, który mi służył do ukończenia szkoły podstawowej.

Szanowałam swoje przybory szkolne, ponieważ były drogie, też trudno dostępne i nie stać było mojej mamy, żeby całej „szóstce” ciągle coś do szkoły kupować. Nie było też jej stać, aby nam kupić strój do gimnastyki, dlatego sama uszyłam sobie „szorty” na wf – na starej maszynie „Singer”. Mój tornister od pierwszej klasy do trzeciej był ten sam. Choć to była sama tektura z zamkiem na zatrzask. Pióro do pisania składało się z obsadki i stalówki, którą moczyłam w kałamarzu i pisałam. Takie pióro mogło być tylko moje, bo stalówka podczas pisania wyrabiała się w zależności od charakteru pisma, inną stalówką nie pisałam tak samo, jak moją. Książki okładałam w papiery specjalnie kupione do tego celu w sklepie papierniczym, aby nie zniszczyć okładek. Wszyscy dbaliśmy o książki, bo nasze komplety sprzedawaliśmy na koniec

roku szkolnego uczniom, kolegom i koleżankom, które uczęszczały do klasy niżej i otrzymywały promocję. Książki uszanowane były droższe i mogliśmy za te pieniądze „z odzysku” kupić komplet książek do następnej klasy.

Mieszkałyśmy w budynku ponemieckim, gdzie zajmowałyśmy dwa pokoje i kuchnię. W pokojach były piękne, kaflowe piece, w których zimą paliliśmy węglem i grzaliśmy plecy, jak również suszyliśmy rękawiczki po saneczkowaniu. W kuchni był również piec, ale nieco inny niż w pokojach. W tych piecach była „duchówka”, w której piekło się ciasta. W kuchni naszej nie było wody bieżącej, tylko na korytarzu. Nosiliśmy wiaderkami do mycia, kąpieli, gotowania obiadu i mycia naczyń. Nie mieliśmy ubikacji w mieszkaniu, ani na korytarzu. Ubikacja była na podwórku, po kilka osób do jednej ubikacji. Latem było łatwiej korzystać, trudniej i zimno było w chłodne i dżdżyste dni, nie mówiąc o zimie, gdzie bywało i -35 stopni. Takie były srogie zimy, dlatego też i śniegu było dużo, często trzeba było odśnieżyć ubikację (miejsce przed), aby z niej skorzystać.

Sąsiadów mieliśmy kochanych. Szanowaliśmy się, byliśmy jedną, wielką „RODZINĄ”. Wszyscy sobie nawzajem pomagaliśmy. Wszyscy razem świętowaliśmy. Wszyscy razem radowaliśmy. Czuliśmy się razem bezpieczni i szczęśliwi. To był piękny czas, kiedy każdy mógł liczyć na pomoc sąsiada, na dobre słowo. Kiedy Pani Helena Baran raz w tygodniu robiła ruskie pierogi dla całego bloku, kiedy moja mama szyla sukienki, spódnice (nocami, rano pracowała zawodowo) dla moich koleżanek i sąsiadek z bloku. Wspólne smażenie pączków i faworków, pieczenie pierników i ciast świątecznych, na przykład MAZURKÓW. To była prawdziwa integracja. Wspólne niedziele na łące. Sąsiedzi z bloku i my braliśmy koce i karty, np. Piotrusia, Chińczyka. Bańki na mleko wypełnione były kompotem i zabierane na łąkę, kanapki, co kto miał, i tak przesiadywaliśmy wspólnie. To niedziela była tym dniem w tygodniu wspólnego biesiadowania. Tydzień pracy: od poniedziałku do soboty. Niedziela była dniem wolnym od pracy i dniem odpoczynku. W niedzielę było śniadanie przy wspólnym stole. Potem Msza Św. w kościele dla dzieci na godzinę 10, po kościele „PORANEK” w kinie na 12:00. Tak wyglądało moje dzieciństwo z moją kochaną mamą i rodzeństwem. Potem to już będzie czas młodości, nauki, szkoły.

Stanisława Skurczyńska

Urodziłam się w r. 1948 w małej podhalańskiej wiosce, jako pierwsza z dość licznego rodzeństwa (dwaj bracia i trzy siostry).

Dom, w którym mieszkaliśmy został praktycznie wybudowany przez tatę. Był to niewielki domek, w którym mieszkało 10 osób. Dzisiaj, po dobudowie piętra dalej służy mojej rodzinie. Mieszka tam brat i siostra ze swoimi rodzinami.

Tato pracował z zakładzie drzewnym, dodatkowo do późnych godzin nocnych, zajmował się chałupnictwem. Razem z mamą prowadzili też niewielkie gospodarstwo rolne. Wszystkie pola w górach były wtedy uprawiane, mimo trudnych warunków, aktualnie większość porośnięta jest trawą. Dzieciństwo wspominam dziś jako szczęśliwe i beztrudne. Rodzice darzyli nas miłością i wychowywali w duchu szczerości, dobroci, uczciwości, szacunku dla rodziców, rodzeństwa i innych ludzi.

Bardzo lubiliśmy wieczory, kiedy babcia czytała nam bajki, uczyła wierszyków i opowiadała różne ciekawe historie. Utkwił mi też w pamięci obraz naszej Mamuni, siedzącej w starym fotelu i robiącej na drutach różne wełniane cudeńka, szaliki, rękawiczki, czapki, skarpety. Służyły nam one w czasie zimowych dni, które spędzaliśmy, bawiąc się na śniegu, robiąc bałwanki i orły. Pomagaliśmy też rodzicom w gospodarstwie przy wykopkach i żniwach.

Nie lubiłam wiązania snopków, ponieważ były kłujące. Bardzo natomiast lubiłam sianokosy, robiąc kupki z siana, do dzisiaj czuję ten niezwykły jego zapach. Jesienią zbieraliśmy owoce jarzębiny, głogu, czerwonej róży, które sprzedawaliśmy w sklepie rolniczym. Kupowaliśmy za to cukierki i zabawki. Część wydawaliśmy na odpuszcie, na który zabierał nas Tatuś, on też kupował nam różne rzeczy jak: zegarki, pierścionki, woził nas na karuzeli. Lata szkolne zawsze wspominam z pewnym sentymentem, chociaż sama szkoła nie przypominała dzisiejszej. Stary budynek bez sali gimnastycznej, z ubikacjami na zewnątrz. Zupełnie inna była także dyscyplina. Nauczyciele cieszyli się dużym autorytetem i szacunkiem, i nikomu nie przychodziło do głowy przeszkadzanie na lekcji. Pewien wpływ miały na to zapewne metody wychowawcze. Można było dostać za to linijką po łapach, siedzieć po lekcjach, albo pisać sto razy, że nie będzie się przeszkadzać. Droga do szkoły to było dwa i pół kilometra pieszo, kamienistą drogą, po której jeździły tylko furmanki konne. Najgorzej było jesienią jak padały deszcze, bo na drodze było dużo błota i ciężko było chodzić. Wakacje w zasadzie spędzaliśmy w domu, pomagając rodzicom w gospodarstwie.



Książki szkolne kupowało się od starszych uczniów. Szanowało się je, aby znowu odsprzedać albo przekazać młodszemu rodzeństwu.

Dość często poruszana była tematyka wojny, ze względu na naszą babcie Ludwisię, która była więziona przez gestapo w Zakopanem. Przeżyła bicia i tortury, potem ciężko pracowała w obozie w Niemczech. Zmarła na zawał serca w 1950 roku. Zostawiła pamiętnik, który obecnie znajduje się w Muzeum w Suchej Beskidzkiej. Rodzice opowiadali nam jej historię, bo ona sama niechętnie wracała do tych okropnych wspomnień.

Stanisława M.

Urodziłam się w Piławie Górnej na Dolnym Śląsku. Moja matka Anna przyjechała jako repatriantka z Tyśmienicy koło Stanisławowa (dziś Ukraina) i pracowała jako szwaczka w Piławie Górnej.

Ojciec pochodził z Lidy koło Wilna (dziś Białoruś), jako repatriant po niewoli niemieckiej w Tallinie (Estonia) przyjechał na ziemię odzyskane. Jako były wojskowy otrzymał domek na wsi. Tu się urodziłam i przeżyłam spokojnie radosne dzieciństwo. Matka po urodzeniu mnie nie pracowała. Żyliśmy z pracy ojca i uprawy przydomowego ogródka. Ojciec był kolejarzem na cały okręg Dzierżoniów, Ząbkowice z siedzibą w Świdnicy.

Janina Danuta

Moja podróż w dzieciństwo jest powiązana z tęsknotą i radością, a także ze smutnymi wspomnieniami. Jak przez mgłę widzę siebie jako małą dziewczynkę z ciekawością patrzącą na świat dziecięcy i świat dorosłych. Urodziłam się w okolicy Nowogrodźca i mieszkałam tam do 7 roku życia. Moja rodzina przeprowadzała się do babci Stasi i z powrotem do tego babcinego, wielkiego, ładnego domu z dużą ilością pokoi, dużych okien i cudownych żyrandoli. Bawiłam się z siostrą Stasią, bratem Zbyszkiem i kuzynem Kaziem, starszym ode mnie o dziesięć lat, którego moja mama pomagała

wychowywać, a także z kuzynami mieszkającymi blisko naszego ogródka do zabaw i ogrodu warzywnego. W ogródku tym babcia posadziła kwiaty i krzewy. Myślę, że ogród ten wpłynął na moje dzisiejsze hobby: zbieram kwiaty i robię małe bukietiki oraz uwielbiam owoce.

Pomiędzy mną a moją starszą siostrą była rywalizacja o względy rodziców, którzy byli wpatrzeni w naszego młodszego brata i na wszystko mu pozwalali, co powodowało, że nieraz byliśmy niesłusznie ukarani. Pamiętam, jak siostra naśmiewała się z mojej lalki bez włosów, bo jej lalka miała bujną fryzurę, niebieskie oczy, kolorową sukienkę, buciki. Była sprezentowana od jej matki chrzestnej. Moja była goła, plastikowa, z pępkiem na brzuszku, ale upragniona. Tato przywiózł mi ją w dużej torbie.

Mając 5 lat z rodzeństwem i kuzynostwem podczas zabawy bez opieki rodziców, podpatrzyliśmy, jak nasz starszy kuzyn Kazik, piętnastolatek, palił papierosy. Surowość w wychowaniu nas spowodowała, że naskarzyliśmy do babci na kuzyna, który potem nie chciał się z nami bawić i robić nam samolocików z gazet.

Moja druga babcia, Apolonia i dziadek Mikołaj, mieszkali w powiecie pleszewskim w województwie poznańskim i przez to bardzo często podróżowaliśmy pociągiem w odwiedziny. Te podróże z Węglińca do Krotoszyna przez Wrocław rozbudziły we mnie ciekawość zwiedzania i poznawania. Podczas podróży rodzice na każdej stacji mówili nam nazwę, a ja później, jak nauczyłam się pisać notowałam w zeszytcie, który dostałam od stryjka Władka, który był nauczycielem w Poznaniu. Dzieciństwo to ciągle małe i długie podróże do dużej rodziny rodziców po Polsce, pociągiem, z rowerami na bagażniku, wozem konnym, bryczką, saniami i wielka radość bycia razem.

Takim wielkim przeżyciem, który jest w mojej podświadomości to staw, w którym ja z moją ośmioletnią siostrą Stasią miałyśmy napić krowę pasącą się na drodze między polanami i strach, że krowa i my razem z nią się potopimy. Do dziś mam wyraźnie przed oczyma szuwały-trawy, rosę zieloną na wodzie, ciepły wieczór, biało-czarną krowę ze sznurem na nogach i przestraszoną, małą Jasię, w której tkwił strach przed wodą i nie mogła nauczyć się pływać aż do 59 roku życia.

KRYSTYNA JURCZYK

Urodziłam się pierwszego października 1952 roku w Bielawie. Moja mama (87l.) pochodzi spod Krakowa, a tato (95l.) z Tarnopola (dzisiejsza Ukraina). Obydwoje przyjechali na Ziemię Odzyskaną w drugiej połowie lat 40-tych XX wieku.

Moje dzieciństwo to lata biedy, niedostatku i ogólnej niemożności. Mama pracowała w biurze, a tato był kierownikiem posterunku teletechnicznego. Obydwoje dorabiali po godzinach.

Ja byłam najstarsza z rodzeństwa, brat młodszy o 2 lata, a siostra młodsza o 6 lat. Pamiętam z dzieciństwa więcej rzeczy dobrych niż złych. Nie zapomnę wycieczek rodzinnych w góry, wczasów nad morzem, pływania kajakami po stawie, wspólnego przeżywania Świąt Bożego Narodzenia, czy Wielkiej Nocy. Mama kultywowała tradycje wschodnie, również kuchnię wschodnią. Nie wiem, jak ona to robiła, że zawsze zdążyła z wieczerzą wigilijną przed „pierwszą gwiazdką”.

Pamiętam również wieczory, kiedy tato czytał nam książki i kiedy płakałam nad losem małego chłopca z powieści Edmunda Amicisa „Od Apeninów do Andów”. Nie rozumieliśmy wielu słów i tata nam tłumaczył, co to jest „białogłowa, chołodziec, studzieniec” itd.

Przykrym skojarzeniem z dzieciństwa jest smak tranu, który musieliśmy wypić przed pójściem do przedszkola. Natomiast lubiłam, i do tej pory lubię, zapach tytoniu z fajki mojego dziadka. Nie zapomnę, jak pykał tą fajką i opowiadał historię swojego dzieciństwa. Jako 14-letni chłopiec pojechał do Wiednia i pomagał rodzinie wyższego rangą wojskowego. Opowieści o I-szej i II-giej wojnie światowej były częstym rytuałem wieczornym.

Mając 8 lat, przystąpiłam do I Komunii Świętej. Mama do ostatniej chwili czekała na paczkę od wujka z Ameryki z moją komunijną sukienką. Szła całą noc, budząc mnie do przymiarki. Moje dzieciństwo wspominam jako szczęśliwe, bez troski, zwłaszcza, że opowiadam o nim z perspektywy wielu lat.

HALINA B.

Urodziłam się na Ziemiach Odzyskanych, w Bielawie. Moi rodzice pochodzą z woj. kieleckiego i przyjechali na Zachód za chlebem.

Moje dzieciństwo to czas bez troski zabaw oraz spotkań rodzinnych, podczas których wspomniano lata wojenne. Bardzo dużo opowiadano o partyzantce kieleckiej.

Lata szkolne to czas obowiązków, takich jak nauka czy lektury, którymi to też potrafiliśmy się bawić. Często graliśmy w „zgadnij, kto to?”. Zabawa polegała na tym, że zakrywało się podpis pod portretem znanej postaci w książce i zgadywało się, kim ona jest. W trakcie innej z naszych zabaw trzeba było na mapie znaleźć jakieś miasto, rzekę, nizinę lub wyżynę. Do dzisiaj dzięki temu dobrze sobie radzę podczas podróży po Polsce.

W domu było nas pięcioro dzieci: ja byłam czwarta z kolei, więc, jako ta młodsza, miałam pewne przywileje. Najstarsza siostra musiała dbać o nas, była za nas odpowiedzialna. Rodzice w tygodniu pracowali, ale za to niedzielę spędzaliśmy razem.

Bardzo lubiłam spotkania rodzinne, podczas których królowały ciasto drożdżowe, babka i sernik.

Najmilej wspominam wycieczki motorowe z ojcem po okolicach. Tatuś miał w sobie pasję odkrywania ciekawych miejsc. Na terenach Dolnego Śląska znajduje się bardzo dużo zamków i pałaców. Zwiedziliśmy ich bardzo wiele: Krzeszów, Książ, Kamieniec Żąbkowski, Grodno, Pieszyce, Dobrocin, Roztocznik, Kuchary, Makowice. Dla mnie, jako nastolatki, te wyprawy były bardzo ciekawe.

Miejsca związane z wojną też były interesujące, np. Sztolnia Walimska, Gross Rosen, Sportschule w Bielawie. Dzisiaj to ja wożę moje wnuczki i opowiadam im o tych miejscach. Dużo informacji na ten temat znajdują obecnie w Internecie. Czuję się tak, jakbym na nowo poznawała te tereny, bogatsza o wiedzę z sieci.

Grażyna

Tato mój pochodził ze Zduńskiej Woli. Po II Wojnie Światowej w poszukiwaniu pracy przyjechał na ziemię odzyskaną właśnie do Bielawy. Tutaj poznał moją mamę, która z czwórką dzieci przyjechała, tak jak on, w poszukiwaniu pracy, bo była jedynym żywicielem rodziny (mąż i ojciec jej dzieci nie wrócił z wojny). Pochodziła z małej wioski koło Kłobucka. Właśnie w Bielawie poznali się i założyli rodzinę.

Ja urodziłam się z tego drugiego związku w 1951 r już w Bielawie.

Moje dzieciństwo mimo ciężkich warunków, jakie panowały w okresie powojennym, było w miarę znośne, czasem wesołe i zabawne, bo przecież już miałam starsze rodzeństwo (trzech braci i jedną siostrę) były też chwile smutne. Jedyny strach, który mi towarzyszył w tamtym czasie był lęk przed powrotem Niemców. Były to tereny odebrane Niemcom po wojnie. My właśnie mieszkaliśmy w domku opuszczonym przez Niemców.

Rodzice moi byli bardzo pracowici – mama została prządką w Zakładach Włókienniczych BZPB, a tato robotnikiem na wydziale tkalni. Żeby nam nic nie brakowało mama dorabiała szyciem w domu, a tato hodował: świnie, kury, gęsi i króliki. W domu panowała dyscyplina, do której byliśmy przyzwyczajeni i nikt z tego powodu nie narzekał. W tamtych czasach głównymi celami było: przetrwać, czysto chodzić, być najedzonym i żyć przyzwoicie.

Zabawy z rówieśnikami odbywały się na ulicy lub podwórkach (zabawa w chowanego, berka, podchody, skakanie na skakance, czy granie w państwo). Jaką przyjemnością była jazda na rowerze taty, kiedy stał wolny. Był to oczywiście rower męski, na którym jeździłam pod ramą (bo byłam na niego za mała). Konsekwencją tego były pozdzierane kolana i łokcie, które skrzętnie ukrywałam przed mamą, żeby nie krzyczała.

Był moment Świąt Zmarłych. Tato ścinał gałązki świerków i daglezji, zawoził je w worku na rowerze pod pobliski cmentarz, a ja sprzedawałam do przybrania grobów. Byłam szczęśliwa, że za zarobione pieniądze mogłam kupić cukierków o różnych smakach (przeważnie landrynek).

Największą frajdą były Świąta Bożego Narodzenia – zapach żywej choinki, smak upieczonych przez mamę ciastek, pierników i kapusty gotowanej z grzybami i grochem. Nad tym wszystkim dominował zapach pastowanej podłogi i podniosła atmosfera. Stół był nakryty białym obrusem, pod którym zawsze było sianko. Najważniejszym momentem było łamanie się opłatkiem przy pierwszej gwiazdce za oknem i składanie sobie życzeń. Dostawaliśmy paczki ze słodyczami i drobne rzeczy zrobione przez mamę na drutach. Wieczorem śpiewaliśmy kolędy i pilnowaliśmy choinki przed zapaleniem się od świeczek.

Wigilia świąt zawsze kończyła się pasterką, na którą podążaliśmy całą rodziną.

Lata szkolne miały spokojnie. Zawsze w szkolnym fartusku z białym kołnierzykiem z tarczą przyszytą do rękawa, która oznaczała, do jakiej chodziłam szkoły. Przy zakładzie moich rodziców była szkółka dla dorosłych. Rząd utworzył program p.t. „walka z analfabetyzmem”. Mama oczywiście z niego korzystała. W tym czasie rzadko kto umiał pisać i czytać.

Największą niedogodnością było pisanie zwykłym piórem z metalową stalówką moczoną w kałamarzu z atramentem. Często byliśmy wysmarowani, a atrament tak szybko nie schodził z naszych rąk. Lekcje gimnastyki odbywały się na korytarzach szkolnych. Pierwszą salę gimnastyczną miałam dopiero w siódmej klasie szkoły podstawowej. Była to jedna z pierwszych szkół, którą wybudowano z programu „tysiąc szkół na tysiąc-lecie”.

Autorytet jakim darzyliśmy naszych nauczycieli był niepodważalny przez nas i naszych rodziców. Słuchaliśmy się ich i baliśmy się, co nam zawsze wychodziło na dobre. Na wakacje zawsze czekaliśmy z tęsknotą. Zrywałam śliwki i jabłka, które rosły w ogrodzie przy domu. Chodziłam pod fabrykę i sprzedawałam. Pieniądze zawsze się przydawały na słodycze, których było wciąż za mało.



Nie trzeba było mieć zegarka, bo sygnał syren fabrycznych, które było słychać w każdym domu były punktualne o godzinie 6:00, 14:00 i 22:00. W wolnych chwilach pasłam gęsi na pobliskich rowach. Mama przygotowywała pierzyny i poduszki wypchane piórami. Właśnie z piór tych gęsi. Prawdę mówiąc, nie lubiłam tego zajęcia, no ale kto się pytał. W zimie spaliśmy oczywiście pod tymi wielkimi pierzynami, które były wysokie prawie do sufitu. Pokoje do spania nie były ogrzewane ze względów oszczędnościowych. Życie nasze toczyło się przede wszystkim w kuchni, gdzie się jadło, odrabiało lekcje itd. Na środku kuchni stał duży stół. W kącie duży piec na węgiel. Ściany były przyozdobione makatkami wyszytymi przez mamę. Na nich widniały różne teksty, takie jak: „Zimna woda zdrowia doda”, „Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść” i tym podobne.

Pochody pierwszomajowe, w których uczestniczyliśmy raczej z obowiązku, odbywały się na ulicach naszego miasta. Centralnie na rynku była ustawiona na ten czas trybuna, na której stali zaproszeni przedstawiciele naszego miasta. Po pochodzie czekały nas różne atrakcje, zabawy w wesołym miasteczku, które zawsze przyjeżdżały na ten dzień, lody, słodycze, potańcówki. Lud robotniczy musiał się bawić.

Dużo koleżanek i kolegów w moim wieku było różnego pochodzenia w sąsiedztwie czy też w szkole. Byli Żydzi i Grecy. Zawiązały się przyjaźnie i sympatie. Bawiliśmy się z nimi pod żydowskimi bożnicami lub na pastwiskach, gdzie Grecy hodowali owce. Rok 1968 zdecydował, że dużo z nich musiało opuścić nasz kraj, czego nie rozumieliśmy do końca.

Wielkim wydarzeniem w naszym życiu było kupno pierwszego radioodbiornika. Słuchaliśmy słuchowisk, takich jak: „Matysiakowie” czy „W Jezioranach”. Tato słuchał po kryjomu stacji „Radio Wolna Europa”. Przeważnie w niedziele spotykaliśmy się z rodziną. Przychodzili do nas, albo my do nich. Zabieraliśmy zawsze odbiornik, który był wyposażony w adapter, dwie płyty „Mazowsze” i „Arie Kiepur”. Przy nich bawiliśmy się wspólnie spędzając wolny czas. Starsi wspominali lata wojny, ich młodzieńcze przygody, tragedie i miłości.

W piątej klasie, za zgodą rodziców, wstąpiłam do harcerstwa. Wiązało się to z kupnem munduru z całym wyposażeniem. Cieszyłam się, że będę mogła wy-

jeżdżać na obozy i zimowiska, na których tyle się działo. Świetnie się bawiliśmy z rówieśnikami (ogniska, wycieczki, zdobywanie sprawności, spanie w wojskowych namiotach). Wieczorami zbieraliśmy się na wieczornicach i śpiewaliśmy harcerskie piosenki, były również potańcówki.

Moje dzieciństwo trwało do momentu ukończenia szkoły podstawowej. Mając czternaście lat musiałam dokonać wyboru, co będę robiła w przyszłości. Tak naprawdę byłam jeszcze za młoda, żeby wiedzieć, co będzie dla mnie dobre.

HELENA K.

Urodziłam się 24 czerwca 1954 roku w Niemczech. Moja rodzina pochodzi ze wschodu. Mama, urodzona w 1931 roku, jako młoda dziewczyna przyjechała na Dolny Śląsk po wojnie z Ukrainy (wieś nazywała się Podrałówka) spod Równego, wraz z całą swoją rodziną – rodzicami i pięciorgiem rodzeństwa. Ojciec mój, Jan, pochodził z rzeszowskiego, skąd 17 września 1939 roku wraz z rodzicami został wywieziony na Sybir. Był jedynakiem. Zabił się na motorze gdy miałam dziesięć lat. W 1964 roku. Dziadkowie poumierali, stąd mam mało wiadomości o jego życiu. Wiem, że w czasie wojny był saperem, brał udział w przeprawie przez Nysę i Odrę.

Moje dzieciństwo to czas trudny i biedny. W domu się nie przelewało. Rodzice posiadali gospodarstwo rolne – 7 ha w okolicy Niemczech. Od najmłodszych lat, wraz z rodzeństwem, czyli trzema siostrami i jednym bratem ciężko pracowaliśmy w polu i obejściu gospodarskim. Nie było dla nas taryfy ulgowej, w związku z tym, że jesteśmy dziećmi. Od piątego roku życia szłam z motyką w pole, do pracy przy burakach cukrowych. Pracowaliśmy przy sianokosach, wykopkach ziemniaków i buraków, przy żniwach. Po powrocie z pola trzeba było pracować w stajni przy krowach – dojenie i wyrzucanie obornika, przy świniami – karmienie. Było mało czasu na zabawę czy naukę. Gdy był czas intensywnych prac polowych, nie chodziliśmy do szkoły. Dzięki pracowitości i zaradności mamy nie chodziliśmy głodni. Umiała szyć na maszynie i robić na drutach, więc byliśmy ubrani dobrze. Ojciec obrabiał pola. W gospodarstwie był traktor i potrzebne maszyny. Natomiast w domu i obejściu gospodar-

skim w ogóle się nie udzielał, zupełnie nie interesował się dziećmi. To wszystko spoczywało na barakach mamy. Dziś jest starą kobietą, bardzo spracowaną, ledwie porusza się o własnych siłach. Wymaga pomocy w podstawowych czynnościach.

W czasach, kiedy byłam dzieckiem, rodzice na wsi nie mieli czasu pilnować dzieci. Zazwyczaj starsze dzieci, te kilkuletnie, pilnowały tych młodszych, całkiem małych. Wspólnie wymyślałyśmy różne zabawy, bo zabawek nie miałyśmy. Przeważnie bawiliśmy się na podwórku, biegaliśmy z innymi dziećmi ze wsi do lasu nieopodal. Zbieraliśmy grzyby, jagody, maliny, poziomki. Przynosiliśmy do domu, a mama je zagospodarowywała. Czasem były to pierogi z owocami, czasem sos grzybowy. Stanowiło to bardzo istotny składnik naszego menu.

Przed świętami tato zawsze przynosił z lasu choinkę, którą ubierały dzieci. Do jej dekorowania służyły jabłka, orzechy zawijane w sreberka i łańcuchy z bibuły. Na choince paliły się małe świeczki w specjalnych uchwytach. Były też włosy anielskie. Zdarzało się czasem, że włosy zajmowały się ogniem od tych świeczek. Różnie to bywało. Na szczęście nigdy nie doszło do wielkiego pożaru. Wieszaliśmy też na choince duże piernikowe, pachnące Mikołaje. Mama piekła babki drożdżowe z rodzynkami, które wydłubywaliśmy z ciasta. Taka babka była do wyrzucenia. Rodzice taty – dziadkowie – mieszkali w osobnym domu, na tej samej posesji. Przynosili nam zabawki pod choinkę. Brat dostał piłkę gumową, która po chwili wylądowała w popielniku. Oczywiście było po piłce. Brat płakał.



ELŻBIETA

Urodziłam się 30.04.1956 roku w Bielawie. Moja rodzina pochodzi z San domierza, w woj. tarnobrzeskim. Moja mamusia przyjechała do Kłodzka, tam pracowała w piekarni, w której poznała swojego męża i razem przyjechali do Bielawy, za pracę.

Czasy mojego dzieciństwa to czas białych sandałów i podkolanówek, które zakładało się do kościoła. Fartuchy z białymi kołnierzykami do szkoły. Brak telewizora i radio, w którym dorośli słuchali „Wolnej Europy”. Bajki, takie jak Koziołek Rududu. Słuchało się co niedziela.

Pamiętam, jak obchodziło się Dzień Matki, robiło się laurki lub domki z pocztówek, które obszywało się nićmi. Boże Narodzenie to był najwspanialszy czas w moim życiu. Wszystkie ozdoby choinkowe robiło się ręcznie z bibuły i wycinanek, wydmuszek z jajek, zbierało się złotka z czekolady i piekło ciasteczka, które wieszano na choince.

Zabawek prawie nie mieliśmy. Ja miałam drewniany wózek. I misia, któremu przyszyłam frędzle od firanki i w ten sposób miałam „lalkę z warkoczami”. Bawiliśmy się na podwórku w klasy, w chłopa (rysowało się patykiem na ziemi, a do klas używaliśmy kawałka dachówki). Robiło się kusze z gumki od słoików i drewna, i strzelało się z jarzębiny.

Ot, takie nasze zabawy.

Maria

Urodziłam się sześć lat po wojnie, co miało wielki wpływ na doświadczenia właściwie całego życia.

Rodzice spotkali się na Dolnym Śląsku pod koniec lat czterdziestych, chociaż obydwaje mieli rodziny z Podkarpacia mieszkające kilkadziesiąt kilometrów od siebie. Z tego rejonu mnóstwo ludzi wyjechało na tzw. Zachód... Z przykrością wspominali wojnę, tato wywieziony był „na roboty” do Niemiec, mama mówiła o linii frontu przechodzącego przez wieś, o zniszczonym domu i gnieźdzeniu się w kilkanaście osób w tzw. ziemiance, gdzie wcześniej przechowywało się zapasy ziemniaków. Obydwaje pochodzili z rodzin wielodzietnych, babcia ze strony mamy miała piętnaścioro dzieci, druga babcia sześcioro. Biorąc pod uwagę rodziny cioc i wujków miałam ich w sumie ponad czterdzieści nie licząc oczywiście kuzynów. Rodziców nie było stać na podróże i wzajemne odwiedziny, rodzina rozjechała się po Polsce, więc większości z nich nie miałam szans nawet poznać.

Pamiętam pierwsze mieszkanko: pokój, kuchnia i wspólna toaleta na korytarzu oraz grzyb na ścianach do wysokości jednego metra. Skromni, ciężko pracujący rodzice mieli na początku kilka mebli, parę talerzy i łyżek... to wszystko.

Moją znaną mi rodziną były dwie, trzy ciocie, kilka kuzynek, ale najważniejszą osobą był dziadek, ojciec mamy mieszkający 400 km od nas. Spędzaliśmy tam przez wiele lat wakacje pomagając w pracach polowych. Moja ciekawość pozwoliła mi poznać historię rodziny, wysłuchiwać opowieści dziadka o zaborze austriackim, o Piłsudskim, Mościckim, o udziale dziadka w I wojnie światowej (był nawet pod Verdun), a także o życiu na wsi i o II wojnie światowej.

Nota bene dziadek mojego męża mieszkający w zaborze rosyjskim mógł stać (z dużym prawdopodobieństwem) w jednej z bitew I wojny światowej naprzeciwko mojego dziadka. Na szczęście ślady kilkudziesięciu odłamków na plecach dziadka pochodziły z bitwy w zupełnie innym rejonie.

W moim miasteczku mieliśmy trochę dalszej rodziny i znajomych, z którymi rodzice słuchali potajemnie (koc w oknie obowiązkowy!) Radia Wolna Europa. Rodzice pamiętali wkroczenie wojsk radzieckich 17 września 1939 r. do Polski, więc nie ufali tzw. władzy ludowej. Wszystko to chłonęłam, chociaż często nie rozumiałam. Na przykład jeden z „wujków” zginął nagle od strzału na polowaniu, były to sprawy polityczne, których rodzice się bali. Do tego stopnia, że kiedy nagonka na Niemców przybierała na sile, tato wyrzucił dokument potwierdzający jego ciężką pracę w cegielni na terenie Niemiec hitlerowskich.

Gdy miałam sześć lat przeprowadziliśmy się do większego, słonecznego mieszkania z własnym WC. Podwórko pod dwupiętrową, sporą kamienicą pełne było dzieci, drzewa owocowe pozwalały na urozmaicenie zabawy, wszyscy zbierali owoce i zgodnie dzielili się nimi, starczało nawet na przetwory. Urządzaliśmy tam przedstawienia teatralne z kurtyną z koca, sprzedawaliśmy bilety po 50 gr., rodzice i sąsiedzi kupowali i stanowili naszą publikę.

Nasza kamienica stała naprzeciw synagogi. To było niezwykle doświadczenie (potem się o tym przekonałam, wtedy to było coś normalnego), gmina żydowska była spora, Żydzi pojawili się tam z obozu w Pieszcych, gdzie byli więzieni przez Niemców. Żydzi prowadzili kosztorną kuchnię, mogliśmy obserwować z okien drugiego piętra spotkania w synagodze, modlitwy przy świecach.

Ulicę obok zasiedlali Cyganie, obok był czynny gotycki kościół katolicki, w kościele ewangelickim był skład mebli . W sklepiku spotykałam Niemki wysuszające obsługę w języku niemieckim, pod miastem przez kilka lat klepała biedę osada Rumunów w budach z dykty, blachy, etc. W szkole pojawili się w którymś momencie Grecy. Wielonarodowość i wielokulturowość była czymś tak zwyczajnym, że nie budziła żadnego zdziwienia ani negatywnych reakcji, przynajmniej w naszym otoczeniu.

Szkoła jest miłym wspomnieniem i to na każdym etapie, począwszy od szkoły podstawowej a kończąc na studiach wyższych, czy nawet studiach podyplomowych. Widocznie zawsze lubiłam się uczyć, oczywiście nie zawsze to było takie bezproblemowe ale jednak zawsze dobrze wspomинane.

Oprócz szkolnych obowiązków doszła opieka nad dwiema młodszymi siostrami, opiekowałam się dość skutecznie, np. w wieku siedmiu lat przewijałam pieluszki najmłodszej siostrze. Jednocześnie byłam pełna zapału do zabawy, sprzątania, zbierania darów lasu, co ratowało nasz budżet domowy. Przykrym wspomnieniem jest ciężka choroba reumatyczna, bóle, zesztynienie stawów. Rodzice przez jakiś czas znosili mnie z drugiego pietra, żebym mogła sobie pójść do szkoły, która na szczęście była bardzo blisko. Stopniowo wszystko się poprawiało i mogłam wreszcie chodzić razem z dziećmi na w-f, co było moim marzeniem.

Zachwycające było również to, że mogłam z klasą chodzić na niedalekie wycieczki. Najwspanialsze jednak okazało się to, że rodzice zapragnęli

Irena Jaroni

Moi rodzice byli robotnikami. Jak przyszłam na świat to miałam już rodzeństwo, dwóch braci. Tato pracował na kopalni, mama na koksowni, 12 godzin. Rodzice starali się wychować nas na pracowitych i uczciwych ludzi.

W międzyczasie rodziły się kolejne dzieci, było nas pięcioro. Zpracowani rodzice mieli dla nas mało czasu, na przytulanie, wyjście na spacer, trzymając za rękę, czy na zabawę. Sporadycznie graliśmy w chińczyka lub bierki. Tato mój, poza pracą zawodową jeździł do lasu na jagody, jeżyny, grzyby, orzechy laskowe. Z lasu przywoził patyczki, z których strugał nam gwizdki, fujarki. To były nasze zabawki.

Jako jedenastolatka objęłam szereg obowiązków w domu. Musiałam zajmując się rodzeństwem, prowadzić gospodarstwo domowe: sprzątać, gotować, opiekować się miesięczną siostrą, nosić ją w beciku do żłobka na szóstą

zwiedzać Dolny Śląsk. Mając 10 lat zostałam „wydelegowana” do czytania przewodnika i posługiwania się mapą. Wsiadaliśmy w niedzielę w pociąg (pamiętajmy, że nie było wolnych sobót) i jechaliśmy do wybranego miasta z kanapkami i herbatą w butelce. To odkrycie wywarło na mnie taki wpływ, że do dzisiaj myślę o tym, żeby jechać i zwiedzać, dalej i więcej.

Jak z tego widać podstawą mojej nauki, w różnych aspektach była ciekawość. Dziadek rozbudził we mnie chęć poznawania historii, rodzice poznawania świata. Do tego miałam przeważnie bardzo dobrych nauczycieli. Wszystko mnie interesowało. To nie była, jak się okazało, zbyt dobra dla mnie cecha, bo przez długie lata nie miałam sprecyzowanych planów ani marzeń zawodowych.

rano. Musiałam wyszykować rodzeństwo do szkoły i sama iść na ósmą rano na lekcje. Poza tym był jeszcze inwentarz: kaczki wiosną, cały rok króliki, pies przy budzie, przy czym również był obrządek.

W moim dzieciństwie najważniejsze były praca i obowiązki, nauka była na końcu, na tyle, na ile wystarczyło czasu. Musiałam uczyć się sama wszystkiego, podglądając innych i dorosłych, jak mam coś zrobić, wykonać, żeby nie zniszczyć, nie zmarnować i na czas wykonać polecenia, które codziennie rano czekały na mnie na stole, spisane na kartce.

Wszystko musiałam wykonać w stu procentach. Nie było możliwości, żebym coś przeoczyła. Na koniec dnia była nauka, przy nocnej lampce odrabiałam lekcje, żeby nie obudzić rodzeństwa. Nie miałam czasu na zabawę z koleżankami, pójście do kina czy na wycieczkę.

Dzieciństwo pełne miłości pozwala przeżyć połowę życia w tym zimnym świecie

Jean Paul Sartre

KRYSTYNA STANIKOWSKA

Dzieciństwo, piękny, bezpieczny czas w moim życiu. Jak to było dawno... A może nie tak bardzo, bo przecież wciąż jestem młoda duchem.

Urodziłam się w Gliwicach, choć ani rodzina Taty, ani rodzina Mamy z Gliwic nie pochodzi. Rodzice Mamy przyjechali z nią do Gliwic ze Lwowa jako tzw. repatrianci, co było dla nich określeniem niedopuszczalnym, ponieważ swą małą ojczyznę właśnie opuścili. Taką nazwę nadała im władza usiłująca pod dyktando ZSRR wymazać pamięć o polskości Kresów Południowowschodnich. Wiem, że dla Mamy nie do zaakceptowania był zapis w dowodzie osobistym „miejsce urodzenia – ZSRR”. Dlatego przez całe życie w naszej rodzinie pielęgnowane były wspomnienia i tradycje kresowe, szczególnie w czasie świąt Bożego Narodzenia. Te tradycje żywe były również w języku, choć gwarą lwowską nikt z dorosłych nieustannie nie mówił. Ale Babcia i Dziadek mieli piękny lwowski zaśpiew.

Tato pochodził z Zagłębia, a konkretnie z Będzina. Jego rodzina rozsiadła była trochę po Polsce, bo nawet na Dolnym Śląsku, w Nowej Rudzie miał kuzynkę ze strony swojej Mamy. Tato od najmłodszych lat był bardzo samodzielny. Był zapalonym piłkarzem i wraz z innymi utalentowanymi chłopcami został wysłany na obóz sportowy do ówczesnej Jugosławii. To było dla niego do tego stopnia ważne wydarzenie, że przez całe życie pielęgnował przyjaźnie tam zawarte, a wraz z żoną odbył sentymentalną podróż do kraju odwiedzonego w dzieciństwie.

Urodziłam się w domu. W 1957 roku, a nawet później domowe porody nie należały do rzadkości. Moja młodsza o ponad pięć lat Siostra również w taki sposób przyszła na świat.

Miałam bardzo szczęśliwe dzieciństwo. Dlaczego? Bo w moim domu nie było konfliktów, wszyscy byli wobec siebie życzliwi, wszyscy się kochali.

Czy to znaczy, że panowała nieustanna sielanka? Nieeee, to brzmiałoby bardzo baśniowo. Ale spory, sprzeczkę rozwiązywane były w sposób niezwykle kulturalny. Często jeździliśmy do rodziców Taty, utrzymywaliśmy żywy kontakt zarówno z Dziadkami z tamtej strony, jak i z rodzeństwem Taty (miał trzech braci). Natomiast Mama była jedynaczką, ale miała dwie bliskie kuzynki, które do dziś traktuje jak siostry (wszystkie są bardzo wiekowe, ale świetnie się trzymają i są przekochane).

Bardzo dużo czasu spędzaliśmy razem. Czasu bardzo miłego i urozmaiconego. Nawet kiedy w domu pojawił się telewizor, nie trawiło się przy nim tyle czasu, ile niestety we współczesnych rodzinach. Rodzice sporo mi czytali, zanim sama posiadałam tę umiejętność. Mama mówi, że potrafiłam w niedzielę o szóstej rano włączyć się rodzicom do łóżka z plikiem bajeczek pod pachą i słowami: citaj baję (cha-cha-cha)

Do ukończenia przeze mnie dwunastego roku życia mieszkaliśmy razem z Dziadkami, ale Babcia Jana zmobilizowała Dziadka Bronka do starania się o małe mieszkanie z puli kolejarzy i w 1969 roku Dziadkowie się wyprowadzili. Ale niedaleko. Obie z Siostrą, choć już tak nie niańczone przez Babcię jak przedtem, chodziłyśmy do nich codziennie na obiady. Natomiast niedzielne obiady jedliśmy całą rodziną u nas w domu.

Jakie wydarzenia zapamiętałam z dzieciństwa? Przede wszystkim wakacje – trochę z dziadkami, trochę z rodzicami. Zdarzało się też tak, że Mama brała urlop w innym terminie niż Tata, żebyśmy dłużej mogły być poza Śląskiem. Dokąd wyjeżdżaliśmy? Na przykład na Zawadę, gdzie swój dom miał kiedyś Pradziadek Wójcik, ojciec Babci Jany. Zajrzeliśmy tam także później, jadąc w Bieszczady pierwszym w rodzinie samochodem - Syreną 105. Zawada jest pięknie położona, nieopodal niej znajdują się Lusławice, w których swój dom ma Krzysztof Penderecki.

Przez wiele lat wyjeżdżaliśmy do Szczyrku, gdzie rodzice nawiązali wie-

le serdecznych przyjaźni, które przerodziły się w prawie rodzinne zażyłości. Ze Szczyrku jak przez mgłę pamiętam sytuację, w której Mama usiłuje wmuśić mi jakieś jedzonko, a żeby lepiej to poszło, wujek Staszek turla po parapiecie szklankę musztardówki. Byłam strasznym niejadkiem i przysporzyłam tym faktem wiele zmartwień moim rodzicom. W rodzinie do dzisiaj funkcjonuje anegdotyczna rada pewnego lekarza, który zalecił dla mnie: „trzy razy dziennie kasza przez 15 minut”.

Pamiętam również wakacje nad morzem: Pobierowo, Mielno, Kołobrzeg i Świnoujście. Szczególnie wakacje w Mielnie były ciekawe, bo były to wczasowagonowe, a raz jechaliśmy na nie nawet w tzw. salonce. W końcu miałam dziadka kolejarza.

Z dzieciństwem wiążą się również dwa traumatyczne przeżycia – konieczność pójścia do przedszkola oraz spóźniony start pierwszoklasistki. Dlaczego nie lubiłam przedszkola? Bo nie lubiłam mleka i kożuchów na nim (zostało mi to do dzisiaj), a szczególnie zup mlecznych oraz południowego leżakowania. Z opresji wyratowała mnie babcia, która zaproponowała, żeby rodzice jednak zostawili mnie w domu pod jej opieką. Do przedszkola z lubością chodziła moja siostra.

Ja jeszcze przed rozpoczęciem nauki w szkole, w wieku 6 lat zostałam wysłana na lekcje gry na pianinie. W domu było pianino i rodzice uznali, że nie powinno stać bezczynnie. Nie lubiłam tych lekcji, może dlatego, że panie uczące mnie gry nie miały właściwego podejścia. Obie (mama i córka) biły mnie gazetą po palcach, gdy się pomyliłam. Nie były to ciekawe osoby. Niedawno przyznałam się mojej wiekowej Mamie, jakie to było dla mnie przykre doświadczenie. Kiedy nie wyszło z pianinem, rodzice posłali mnie na angielski. I to było bardzo dobre posunięcie.

Do pierwszej klasy przyszedłam dwa tygodnie po rozpoczęciu roku szkolnego, bo przechodziłam ospę wietrzną. Dwa tygodnie to w życiu zespołu klasowego szmat czasu. Zawiązały się już pierwsze przyjaźnie, dzieci się ze sobą żyły. A ja byłam spoza ich grona – nowa i bardzo obca. Czułam się tak prawie do końca nauki w szkole podstawowej. Zaprzyjaźniłam się z nowo przyjętą koleżanką dopiero w piątej klasie.

Okres szkoły podstawowej to także świetlica i bardzo umuzykalniona pani świetliczanka, która nauczyła nas tańczyć poloneza. I tak w pięknych, uszytych z gazy i z bibułki sukniach z okazałymi kryzami sunęliśmy w parach z chłopakami (sic!) podczas jednej ze szkolnych uroczystości. Tańczyliśmy do poloneza Ogińskiego „Pożegnanie ojczyzny”.

W szkole podstawowej miałam początkowo bardzo wiekową wychowawczynię. Zupełnie nie rozumiała naszych dziecięcych problemów. Teraz widzę, że popełniała mnóstwo błędów wychowawczych. W klasie szóstej przyszła nowa wychowawczyni – miała zupełnie inne podejście i szybko zaskarbiła sobie sympatię klasy.

Lata szkoły podstawowej to także wyjazdy na kolonie oraz zimowiska. Czas pierwszych przyjaźni oraz pierwszych zauroczeń chłopakami. Piękny czas. Klasę ósmą zakończył świetnie zorganizowany komers. Potem egzamin do liceum, który przeszedł bezboleśnie. Bez większych trudności dostałam się do wybranej szkoły. Miałam to szczęście, że podstawówka i liceum mieściły się w tym samym budynku. Do matury do szkoły chodziłam dwie ulice od mojego domu.



ROZDZIAŁ II. BLASKI I CIEŃ MŁODOŚCI. WYBÓR CZY AKCEPTACJA?

ALICJA ŁUKOWSKA

Mieszkałam w Polanicy-Zdroju. W roku 1954 zdałam (lub przyjęto mnie) do szkoły, do Liceum Ogólnokształcące w Kłodzku. Przyjmowano do ogólniaka wytypowanych uczniów. Do liceum dojeżdżałam pociągiem lub czasem autobusem. Miesięczny bilet na przejazd pociągiem był dużo tańszy.

W szkole obowiązywał fartuch granatowy z białym kołnierzykiem. Zimą na spodnie fartuch „dyżurny” zostawiałam w szatni. Na pochody 1-majowe chodziliśmy obowiązkowo, wszyscy uczniowie. Sprawdzano obecność.

W wakacje po „małej maturze” był wyjazd zorganizowany przez ZMP (Związek Młodzieży Polskiej) na tzw. brygady. Tam można było zarobić nieco pieniędzy. To była wieś. Układaliśmy i wiązaliśmy snopki zboża, obkopywaliśmy buraki. Hartowaliśmy ręce nienawykłe do pracy fizycznej.

Na koniec były zabawy. Dziewczyny tańczyły, krakowiaka, trojaka... Za te zarobione pieniądze kupiłam sobie „wymarzony” zegarek tzw. „buksiak”. Załatwiła mi przydział znajoma z kopalni węgla na Śląsku.



STANISŁAWA SKURCZYŃSKA

Po ukończeniu szkoły podstawowej, średniej i studium pielęgniarstwa, zdecydowałam się na wyjazd do Krakowa. Rozpoczęłam tam pracę, jako pielęgniarka, w szpitalu im. dr Anki, obecnie jest to Szpital Jana Pawła II. Pracowałam na oddziale torakochirurgii, reanimacji i oddziale wirusowego zapalenia wątroby.

W Krakowie poznałam przyszłego męża, tam wzięliśmy ślub i urodziłam synka Tomasza. Potem wyjechaliśmy do Wałbrzycha. Mąż rozpoczął pracę w kopalni, a ja w szpitalu nr 2. Później pracowałam w stacji krwiodawstwa i w szkole integracyjnej nr 26 jako pielęgniarka szkolna. Aktualnie oboje jesteśmy na emeryturze.

ELŻBIETA

Moja młodość, takiego podlotka, to czasy piękne, ale bardzo rygorystyczne. Byłam wychowywana bez ojca, więc moja mamusia musiała trzymać dyscyplinę. Pracowała na trzy zmiany.

Zbierałyśmy się z koleżankami, słuchałyśmy muzyki z kolorowych pocztówek. Sprzętem grającym był adapter, który miał nazwę „Bambino”. Przy takim sprzęcie organizowało się prywatki, czyli tzw. domówki. Było wesoło. Bawiłyśmy się z chłopakami. To były pierwsze miłości, pierwsze pocałunki. W tajemnicy wino i papieroski. Nosiło się spódniczki i sukienki mini. Były już rajstopy. W szkołach też były organizowane zabawy. Przy magnetofonach.

Żeby spotkać chłopaków, spacerowało się ulicami. Głównym punktem był zawsze Plac Wolności. Do domu trzeba było wrócić przed zmierzchem. Lekcje musiały być odrobione, a zeszyty na stole, bo jak mama wróciła z pracy, to zawsze je sprawdzała.

Ta nasza młodość była wesoła, ale biedna.

URUSZULA RADZIKOWICZ

Co zaważyło o mojej dalszej edukacji, o wyborze szkoły średniej? Myślę, że chęć do dalszej nauki i jakieś już niewielkie usamodzielnienie.

Bardzo chciałam iść do liceum ogólnokształcącego, ponieważ miały one wtedy jakiś prestiż. Wiedziałam, że będę musiała się więcej uczyć niż w zawodówce, ale chciałam.

Niestety, mimo zdanego egzaminu, nie zostałam przyjęta z braku miejsc. Podjęłam więc decyzję o wyborze liceum medycznego, ponieważ nie musiałam już drugi raz zdawać egzaminu. Po zdaniu już tylko teście psychotechnicznym, zostałam przyjęta.

Czy chciałam być pielęgniarką? Moja decyzja kształtowała się przez cały czas szkolny. Praktyki w pierwszych klasach to także sprzątanie na oddziałach, zajęcia na sali demonstracyjnej. Taka nauka z dala od pacjenta. Dopiero w kolejnych klasach były praktyki na oddziałach szpitalnych, obserwacje chorych, pierwsze zabiegi. Wiedziałam, że praca będzie trudna, ale już zdecydowałam – tak, będę pielęgniarką.

Po zdaniu dyplomu wyjechałam z domu do pracy do nowo otwartego Szpitala Górniczego w Wałbrzychu. Jeszcze w szkole miałyśmy spotkanie z jego dyrektorem, który wybierał kandydatów ze szkół pielęgniarstwa.

Znałyśmy się więc z innymi pielęgniarkami i to pozwoliło nam zamieszkać razem we wspólnym mieszkaniu. Mieszkałyśmy po trzy, po cztery w jednym mieszkaniu, a więc prawie jak w internacie. Wiadomo, bywały zgrzyty, ale narzekać nie można było.

Zaczęła się praca, na trzy zmiany, na dość ciężkim oddziale neurochirurgii. Bywało ciężko, zwłaszcza, że nie miałam na tym oddziale wcześniej praktyk. Ale ordynator bardzo nam pomagał wprowadzał w pracę.

Choć później mogłam zmienić oddział, już nie chciałam. Praca dawała mi satysfakcję, więc później pracowałam także na dyżurach nadliczbowych.

Maria

Podróże pociągiem po Dolnym Śląsku, z kanapkami i herbatą w butelce, szkoła i rozbudzona przez dziadka ciekawość świata wyrobiły we mnie cechę, która nie była, jak się okazało, mi pomocą. Raczej przeszkodą. Przez długie lata nie mogłam sprecyzować sowych marzeń zawodowych.

Chciałam się zajmować archeologią, jednocześnie myślałam o bibliotekoznawstwie...Biorąc pod uwagę miejsce zamieszkania oraz nikłe, właściwie żadne możliwości finansowe, pozostałam tam gdzie byłam. Trafiłam do Technikum Radiotechnicznego, gdzie egzaminy wstępne zgromadziły 6-7 osób na jedno miejsce. Dostałam się. Tam również interesowała mnie nie tylko nauka o nieistniejących już lampach elektronowych, raczkujących właśnie tranzystorach, ale udział w kole teatralnym, śpiewanie przebojów „Alibabek” z zespołem elektrycznych gitar... to były lata 1965-1970, więc szal!

Po szkole średniej brak możliwości finansowych nie pozwolił mi wybrać się z kolegami na studia, po roku pracy w Zakładach Radiowych Diora, udało się jakoś wszystko poukładać. Będąc na Politechnice, żyłam bardzo oszczędnie, tzw. stypendium naukowe pozwalało opłacić akademik i bony na posiłki, mama szyła siostram i mnie prawie wszystko, co na siebie wkładałyśmy. Zbieranie grzybów, jagód, malin, orzechów, lipy, etc. było sposobem na przetrwanie, rodzice mówili, że „żyjemy z lasu”. Mięso jadało się raz w tygodniu, słodczy prawie wcale. Mając 16 lat dowiedziałam się na wycieczce klasowej, co to jest kotlet schabowy. Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy i jestem z tego dumna, że coś jest nie tak, nawet gdy już zrozumiałam, że część kolegów żyje lepiej... nie sprawiało mi to przykrości.

Studia otwierały nowe możliwości, chociaż zdawałam sobie sprawę, że to tylko chwilowe przedłużenie młodości. Na wakacjach pracowałam, żeby móc gdzieś wyjechać, choćby na obóz studencki.

Przed ostatnim rokiem studiów finanse moich rodziców były niewystarczające, dwie młodsze siostry rozpoczęły dalszą naukę. Postanowiłam wziąć stypendium fundowane z zakładu pracy, musiałam pomóc. W ten sposób jednocześnie decydowało się wtedy o swoim przyszłym życiu zawodowym.



Zderzenie z rzeczywistością było bardzo bolesne. Wybrałam zakład w Żarowie oferujący miejsce pracy w warsztacie elektrycznym, nie bałam się tego, po 3 miesiącach obiecywano mieszkanie, docelowo stanowisko... Co ważne w dziale kadr radość była również duża, bo miejsce to czekało już pół roku na zainteresowanie studentów Wydziału Elektrycznego.

Niestety. Do podpisania umowy nie doszło, dyrektor nie życzył sobie, jak mi powiedziano, kobiety! To był jedyny argument, przeżyłam trudne chwile. Inne oferty mnie nie zachwycały, działy technologiczne i konstrukcyjne były mi znane z praktyk studenckich w różnych zakładach pracy. Kobiety najczęściej „temperowały ołówki”, parzyły kawę kolegom i na pewno były gorzej traktowane. W tamtych czasach większość czasu spędzało się przy desce kreslarskiej nanosząc swoje projekty, to nie były czasy komputerów. Może trochę przesadziłam, ale tak to wtedy wyglądało.

Znalazłam wreszcie stypendium w Technikum Elektrycznym, czekało miejsce dla nauczyciela elektrotechniki. Rodzice odetchnęli z ulgą, miałam za co żyć.

W ten sposób mając tytuł magistra inżyniera po Politechnice Wrocławskiej bez przygotowania pedagogicznego zostałam nauczycielem elektrotechniki, mierznictwa elektrycznego i paru innych przedmiotów.

Myślę, że dobrze się stało z patrząc z perspektywy czasu (pomijając płace!), lubiłam swoją pracę, swoją młodzież, często starszą ode mnie.

Organizowałam wycieczki dla młodzieży, pracowników, robiłam studia podyplomowe z turystyki, wymyślałam imprezy towarzyskie, organizowałam bale przebierańców.

Helena K.

Lata mojej młodości (1969 – 1974) spędziłam w Świdnicy. Uczęszczałam wówczas do Liceum Pedagogicznego dla wychowawczyń przedszkoli, które mieściło się przy ul. Przyjaciół Żołnierza.

Pochodzę ze wsi oddalonej od Świdnicy o ok. 50km więc mieszkalam w internacie, który znajdował się obok szkoły.

W internacie obowiązywał regulamin, którego musiałyśmy przestrzegać. Niedostosowanie się do regulaminu skutkowało utratą stypendium (przysługującego w przypadku dobrych ocen i odpowiedniego dochodu na członków rodziny). Oczywiście opłata za internat obejmowała także 3 posiłki. Były one dobre.

Po powrocie ze szkoły, po obiedzie, był czas wolny do 16.00 – można było wyjść „na miasto” lub na pocztę. Czasem szłyśmy też z koleżankami do kawiarni, gdzie piłyśmy herbatę z żurawiną i kokietowałyśmy chłopców. Od 16.00 do 18.00 nauka własna, potem kolacja i znowu nauka. Cisza nocna obowiązywała od 22 do 6 rano.

Internatem kierował nauczyciel od Przynależności Obronnej. On również mieszkał w internacie wraz z rodziną. Często – kilka razy dziennie – chodził po wszystkich pokojach (internat był duży) i sprawdzał, czy wszystko jest w porządku. Patrzył również na porządek w szafkach – jeśli był bałagan,

cała zawartość lądowała na podłodze. To on nauczył mnie jak zachować ład w szafie. Zachowuję go do dzisiaj.

Co roku oczekiwaliśmy na pochód pierwszomajowy. W tym dniu cała szkoła ustawiała się przed budynkiem na ul. Przyjaciół Żołnierzy. Ustawiani byliśmy czwórkami lub szóstkami. Jako, że byłam wyróżniającą się uczennicą, miałam zaszczyt maszerować w poczcie sztandarowym. Było nas w nim kilka/kilkanaście osób. Ubrani byliśmy obowiązkowo w granatowe mundurki i białe bluzki z tarczą liceum na lewej piersi oraz białą – czerwoną szarfę, przełożoną przez ramię. Koszmarem, którego bardzo się wstydziliśmy, były obowiązkowe granatowe berety i oczywiście białe rękawiczki.

Tak ustawieni czekaliśmy nawet po kilka godzin, aby według ustalonej kolejności przejść przed trybuną, na której byli ustawieni członkowie PZPR. Machaliśmy do nich rękoma, chorągiewkami – a oni do nas. Orkiestra grała marsza. Maszerowały wszystkie szkoły i wszystkie zakłady pracy – było bardzo dużo ludzi i było wesoło. Potem odbywały się festyny – bardzo wesołe, gwarne, kolorowe. Och! To było to, na co czekaliśmy. Niektórzy się urywali z marszu, ja nie miałam takiej potrzeby. Nawet nie miałam jak i nie mogłam, bo szłam w poczcie, na przedzie.

Jednego razu stało się tak, że 1 maja wypadło w sobotę. Pociąg relacji Świdnica – Wrocław (przez Dzierżoniów) odjeżdżał na tyle wcześniej, że z pochodu nie zdążyłabym wrócić do internatu po skrzypce – a na poniedziałek musiałam nauczyć się jakiś utwór. Wzięłam więc te skrzypce na pochód i niosłam w poczcie sztandarowym. Zobaczył to nauczyciel od gry – w poniedziałek, w uznaniu, bez grania postawił mi piątkę. Warto było. Wspominam to miło.

Stanisława M.

W szkole średniej pamiętam tarcze, fartuszki, mundurki, koniecznie płaszcz granatowy, który mama uszyła mi z ojca munduru kolejowego.

Po skończeniu szkoły średniej pracy nie brakowało. Chodziliśmy na czyny społeczne, na majówki. Na mieszkanie czekałam siedem lat.

KRYSTYNA SZEŁĄG

Ostatnie lata ukończenia szkoły podstawowej wywarły wpływ na dalszy styl życia. Brałam udział w zespole tanecznym, który występował na różnych uroczystościach w Bielawie. Śpiewałam w chórze szkolnym, a jakiś czas nawet dyrygowałam.

Brałam udział w imprezach sportowych a także w pracach ręcznych takich jak wyszywanie, mereżkowanie, haftowanie. Czynności te były dla mnie całkiem normalnie, bo innych zajęć po prostu nie było.

Po szkole podstawowej miałam pójść do Technikum Rachunkowości, zostałaam przyjęta, ale moja radość nie trwała długo. Moja mama miała wypadek, miała zmiażdżone palce u prawek ręki. Musiałam przerwać szkołę, pójść do pracy i zaopiekować się mamą. W tym czasie czytałam książki i uczyłam się szycia na maszynie.

Pierwszą sukienkę uszyłam z fartuchów roboczych, jakie dostałam w pracy w Bieltexie. Szyłam wszystko, co było potrzebne do domu, do ubrania. Wieczorami chodziłam z koleżankami za klub, na tzw. dechy, czyli na potańcówki. Stałyśmy lub siedziałyśmy na ławkach, a chłopcy podchodzili i prosili nas do tańca.

Tak poznałam chłopca, z którym wracaliśmy do domu, mieszkał w tej samej okolicy. Znajomość trwała od wiosny do późnej jesieni, aż w końcu mama powiedziała, że tak dłużej być nie może: „*Albo siężeń, albo daj jej spokój*”. W końcu oświadczył mi się pierścionkiem, który noszę do dzisiaj.

Ślub odbył się na Boże Narodzenie, a uroczystość w domu, w rodzinnym gronie. Po ślubie zamieszkaliśmy z mężem w jego mieszkaniu.

Mieszkanie miał, jako kawaler, bardzo skromne. Byliśmy szczęśliwi. W tym czasie staraliśmy się o zamianę mieszkania i udało się, przeprowadziliśmy się na ulicę 7 listopada (obecnie 11 listopada).

Cały ten czas odwiedzaliśmy mamę i wykonywaliśmy wszystkie prace, by utrzymać mieszkanie.

KRYSTYNA JURCZYK

Do szkoły podstawowej i średniej chodziłam z rówieśnikami pochodzenia żydowskiego i greckiego.

W 1957 roku przeprowadziliśmy się do mieszkania trzypokojowego po rodzinie żydowskiej, która wyjeżdżała. Pamiętam (mimo że miałam 5 lat) dziewczynę o czarnych, długich warkoczach i bardzo czarnych, smutnych oczach, która przytulała się do kafli ciepłego pieca.

W liceum przyjaźniłam się z Lilką i nie mogłam zrozumieć, dlaczego z dnia na dzień wyjechała z rodzicami do Szwecji. Profesorowie też specjalnie tego nie tłumaczyli, nabierając wody w usta.

Moi rodzice przyjaźnili się zarówno z Żydami, jak i Grekami.

Chodziłam do klasy z Niki Milopulu (siostrą znanej dzisiaj piosenkarki Eleni). To od greckiej rodziny nauczyłam się przyrządzać sałatki z pomidorów, ogórków do tradycyjnego barana, a także tańczyć przy ognisku.

Żydzi i Grecy mieli w Bielawie swój klub TTKŻiG (Towarzystwo Krzewienia Kultury Żydowskiej i Greckiej). Był to piękny architektonicznie budynek przy głównej ulicy Wolności.

Moja mama często przynosiła bilety wstępu na koncerty do Teatru Robotniczego. Pamiętam występy takich gwiazd jak Mieczysław Fogg, Hanka Bielicka, Barbara Dunin i Zbigniew Kurtycz, Jacek Lech, Czerwono-Czarni, Niebiesko-Czarni, Czerwone Gitary.

W Bielawie mieszkali również Rumuni i autochtoni. To byli nasi sąsiedzi, z którymi do tej pory utrzymujemy kontakty.

Tolerancji, ciekawości świata, internacjonalizmu nauczyłam się właśnie w czasach mojej młodości. Lubię wyjeżdżać, poznawać nowe kraje, ich kulturę, folklor, kuchnię.

Cenię odmienność.

Grażyna

Pierwsze wspólne zabawy, ubawy lub potańcówki, które się odbywały w mojej młodości w klubach przyzakładowych na terenie mojego miasta były jedną z lepszych rozrywek w tamtych czasach.

Wraz z koleżankami stroiłyśmy się na tą chwilę w co było najlepsze i najładniejsze. Robiłyśmy to w celu przypodobania się chłopakom których poznawałyśmy. Sale były piękne, wyłożone kasetonami, a na podłodze wyłożone pięknym parkietem.

Irena Jaroni

W mojej szkole była dyscyplina i rygor. Pomimo tego lubiłam się uczyć i chodzić do szkoły. Przez kilka lat moją wychowawczynią była pani dyrektor, która od uczniów wymagała dyscypliny i nauki. Wystarczyło, że nauczyciel spojrzał na nas znacząco, a wszyscy już wiedzieli, co to znaczy. Zresztą w domu też tak było, wystarczyło jedno spojrzenie rodzica i wszyscy wiedzieliśmy, co mamy zrobić.

Z lekcji starałam się wynieść jak najwięcej, ponieważ w domu nie miałam czasu na naukę. Byłam uczennicą zdyscyplinowaną i nie sprawiałam kłopotów w nauce i zachowaniu. Dzięki temu wyłoniono mnie do Szkolnego Klubu Sportowego. Reprezentowałam szkołę na zawodach sportowych, m.in. w biegach dystansowych, w skoku w dal, biegach na nartach. Śpiewałam w chórze w Technikum Ceramicznym w Szczawnie – Zdroju.

Moja szkoła była duża. Składała się z lewego i prawego skrzydła. Była z czerwonej cegły. Nieczynna stoi do dziś. Składała się z kilku dobrze wyposażonych gabinetów do nauki. Były sale fizyczno – chemiczna, biologiczna, geograficzna, matematyczna. Dobrze wspomynam moją szkołę i grono pedagogiczne. Dzięki nim wyniosłam ze szkoły dużo wiedzy i bogate doświadczenie.

Nie było miejsc do siedzenia, więc stałyśmy pod ścianom i czekałyśmy, aż któryś z chłopaków raczy nas poprosić. Do tańca grał Brelowski zespół przyzakładowy. Nie ukrywam, że każda z nas miała nadzieję poznać i podebrać fajnego chłopaka, który tak jak my też miał taką nadzieję.

Ubawy, bo tak najczęściej o nich mówiliśmy, trwały do 22, często prosiliśmy żeby nam przedłużono, a największym celem, gdy którąś z nas odprawdzono do domu.

Wszystkie moje wakacje spędzałam pracowicie, bawiąc siostrę, pracując w polu, przy sianokosach, żniwach, wykopkach. W gospodarstwie parowałam ziemniaki, kroiłam pokrzywy, przygotowywałam paszę dla świń i przynosiłam do koryta, doiłam krowy, karmiłam kury, a było ich dwieście. Karmiłam kaczki i gęsi, indyki. Wszystko to robiłam u mojej babci i cioci na wsi.

W szkole średniej, mając już szesnaście lat pracowałam zarobkowo. Szkoła, za dobre wyniku w nauce, typowała kilku uczniów do pracy. Wtedy wyjeżdżałam na prawie dwa miesiące wakacji. Zarabiałam na mundurek, książki, zeszyty i cały ekwipunek do szkoły. Trochę też oddawałam mamie.

I tak to wszystko wyglądało do ukończenia jedenastu klas.

Zdobyłam zawód, zaraz po szkole podjęłam pracę. Pracując, musiałam dawać pieniądze na życie, a to, co mi zostawało, to zaczęłam sobie gromadzić potrzebne rzeczy na przyszłość: kołdrę, poduszkę, sprzęty do kuchni, np. garnki, łyżki, talerze, ściereczki, kubki. Kiedy ukończyłam 20 lat, wyszłam za mąż. Miałam już wtedy duży wiklinowy kosz do bielizny moich rzeczy, do naszego własnego gospodarstwa domowego. Założyłam rodzinę.

Ciesz się każdą chwilą, abyś potem nigdy nie żałował, że utraciłeś młodość. Każdemu etapowi życia Pan przypisał właściwe mu niepokoje.

PAULO COELHO, PIĄTA GÓRA

KRYSTYNA STANIKOWSKA

W liceum chodziłam do klasy o profilu humanistycznym. Było niestety tak, że do tej klasy szli uczniowie niekoniecznie o zainteresowaniach humanistycznych, raczej nie lubiący przedmiotów ścisłych. Jako że byliśmy pierwszym rocznikiem klas profilowanych, nie było dla nas gotowych programów nauczania. Tak zwykle bywa z reformą edukacji, że na początku panuje straszliwy bałagan. W klasie I nasz program niewiele się różnił od programu innych klas. Dlatego w II klasie przez pierwsze półrocze powtarzaliśmy omówiony w poprzedniej klasie materiał z matematyki. Ale nam się utrzymało.

Nowy etap edukacji zaowocował nowymi znajomościami, przyjaźniami. Ale najważniejsze miało przyjść po klasie I. Wówczas rodzice postanowili, że wraz z młodszą siostrą pojedą na obóz harcerski.

Pojechałam na obóz młodszoharcerski, z dziećmi z podstawówki, co nie było dla mnie łatwe. Ale z racji swojego wieku, z miejsca zaprzyjaźniłam się z obozową kadrą i stałam się prawą ręką oboźnego i komendanta. Z niektórymi osobami z tego obozu utrzymuję znajomość do dzisiaj.

Ale najważniejsze stało się jakby niechcący – połączyłam harcerskiego bakcyła. Najpierw współprowadziłam drużynę zuchową, a potem zostałam przyboczną w drużynie starszoharcerskiej. Ukończyłam nawet letnie kursy drużynowych zuchowych oraz drużynowych starszoharcerskich.

Harcerstwo gliwickie czerpało tradycje z harcerstwa przedwojennego i nie dawało się wciągnąć w polityczne rozgrywki władzy. Nosiliśmy szare mundury, do których dziewczyny szyły sobie szorty oraz spódniczki. Za nakrycie głowy służyły nam rogatywki. Ognisko kończyła zwykle piękna pieśń „Modlitwa harcerska”.

Uwielbiałam jeździć na obozy harcerskie. Ja, delikatna, wrażliwa „Krysia z kryształ”, jak nazywały mnie koleżanki ze szkoły średniej, nie bałam się ciemności, pajaków i innych leśnych żyjątek. Dzielnie zdobywałam sprawność Trzech Piór, która wymagała między innymi dwudziestoczterogodzinnej samotności w lesie bez jedzenia (przecież tam rosło :) i z ograniczoną ilością zapalek. Z radością jeździłam na biwaki, chociaż nie miałam, jak obecni uczniowie, wolnych sobót. Na biwak jechało się w sobotę o 14.00, a w niedzielę wieczorem wracało do domu. I trzeba było jeszcze pomyśleć o nauce na poniedziałek.

Uwielbiałam śpiewać harcerskie piosenki – te wesołe i te nastrojowe. Przy ognisku zostawałam do ostatniej iskierki i śpiewałam... Lubiłam też płąsy zuchowe, stare konie bawiły się jak dzieci. Jakie to były beztrudne lata, nie czuło się na plecach mrocznego oddechu PRL – u.

Harcerstwo ma poczesne miejsce w moich wspomnieniach, bo podczas wyprawy harcerskiej poznałam swojego męża. Było to po II roku studiów polonistycznych. Na obozie byłam drużynową, a on oboźnym. A półtora roku później weszłam w dorosłość, zostając szczęśliwą żoną.

Ale zanim to nastąpiło, po maturze rozpoczęłam studia na wydziale polonistyki Uniwersytetu Śląskiego. Każdy pomyśli – pewnie w Katowicach? Otóż nie! Ambicją I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka było, żeby jego rodzinne miasto, Sosnowiec, miało status ośrodka akademickiego. Zatem zaczęłam studia w Sosnowcu. Początkowo zamieszkałam w wynajętym pokoju, ale musiałam przecież korzystać często z dobrej biblioteki, w tym wypadku z Biblioteki Śląskiej w Katowicach, więc zrezygnowałam z tzw. stancji i dojeżdżałam.

Studia wspominam z rozrzewnieniem jako czas poznawania ciekawych ludzi, spotkania wspaniałych naukowców, jak prof. Irena Barrierowa czy prof. Opacki. Czas szalonych imprez, wolności, radości. Często byłam wtedy zakochana, aż poznałam swojego przyszłego męża, któremu do dziś jestem wierna.

Już jako szczęśliwa mężatka i świeżo upieczona nauczycielka miałam obronę pracy magisterskiej. To było 14 października 1980 r.

Skład komisji wymarzony: mój promotor, prof. Aleksander Wilkoń, recenzent, prof. Edward Polański, oraz prof. Ireneusz Opacki.

Podczas obrony padło pytanie, jakich metod należy użyć w nauczaniu ortografii. Mój naukowy wywód przerwał prof. Opacki, który powiedział, że jego dawna pani profesor mawiała: *Nie wiesz, jak się pisze „papież”, to pisz „ojciec święty”*. Atmosfera uległa rozluźnieniu, a ja niebawem opuściłam salę ze zdany na piątkę egzaminem.



ROZDZIAŁ III. ŚWIAT W NASZYCH RĘKACH.



KRYSTYNA SZELĄG

Przyszedł czas na macierzyństwo. Ukończyłam dwadzieścia lat i urodziłam synka. Daliśmy mu na imię Krzyś. Lata te były dla mnie bardzo pracowite, bo mąż kończył studia a ja musiałam zająć się synem, mamą, domem. W wolnych chwilach zawsze zaglądałam do różnych książek, bo byłam bardzo ciekawa wszystkiego. Nadal sylałam różne rzeczy – dla siebie i dla sąsiadek. Z realcji koleżanek i innych osób wiem, że byliśmy z mężem bardzo ładną parą.

Po czterech latach dostałam propozycję pracy w banku. Oczywiście było to dla mnie dobrym startem w przyszłość i dużą szansą. Od razu podjęłam naukę w liceum ogólnokształcącym. Szkołę ukończyłam i chciałam pójść na studia. Wszystko to działo się w domu, zdawałam tylko egzaminy. Zawsze z dobrym wynikiem. Ale życie to nie jest bajka. Pierwsze kroki na studiach były pomyślne, ale Krzyś poszedł do szkoły. Znow musiałam zająć się nie tylko sobą, ale domem, domem mamy, nauką synka. Wszystko w tym czasie mnie chyba przerosło. Musiałam z czegoś zrezygnować. Zarobki w banku nie były dla nas wystarczające. Teraz chyba płaca w banku należycie. Z banku przeszłam do pracy w Bieltexie. Zarabiałam więcej, ale nie tyle co mężczyźni na tym samym stanowisku. Pracowałam w biurze, miałam powiązanie z działem socjalnym. W tym czasie modne były działki ogrodowe. Tak powstał Ogród Rodzinny „Radość”. Z początku byłam tylko osobą, która nadzorowała, jak rozdzielane są działki, pilnowałam, by przestrzegać regulaminu. Był to teren zakładowy. Dopiero w późniejszych czasach został przejęty przez Pracownicze Ogrody Działkowe we Wrocławiu a potem przez Warszawską Krajową Radę. Po kilku latach zostałam wybrana przewodniczącą ogrodu z zarządem, a potem na prezesa.

Praca ta całkowicie wypełniła mi czas i obudziła zamiłowanie do uprawy warzyw, owoców i kwiatów. Tak było pięknie. Syn ukończył technikum Elektryczne w Dzierżoniowie, ożenił się z Alą. Pierwsza wnusia była i jest dla mnie wszystkim. Ala pracowała a ja odbierałam wnuczkę z przedszkola. Cieszyliśmy się wszyscy. Było dobrze, każdy pracował, jeździliśmy na wczasy w kraju, na przykład do Kołobrzegu i innych nadmorskich miejscowości. Były też wyjazdy nad jeziora pod namioty i w góry. Tak mijało osiem lat. Urodziła się ko-

lejna wnusia, Asia. Również kochana, tak wtedy, jak i teraz, (obie są piękne i zaradne). Aż przyszła straszna wiadomość: Krzyś, syn, jednak, ma wypadek samochodowy i ginie na drzewie na drodze koło Nowizny, jak się jedzie do Świdnicy. Od tego czasu nasze życie staje się smutne i nieciekawe. Iza miała 8 lat, a Asia 8 miesięcy...

Dalsze moje lata to praca w ogrodzie. Na rok zrezygnowałam – nie byłam w stanie. Jak tylko było można, przeszłam na emeryturę. I tak jakoś żyję. Znow staram się być aktywna i uczyć się wszystkiego. Świat jest taki piękny, że warto żyć.

Maria

W roku 1973 wyszłam za mąż. W 1974 urodziłam syna, pracowałam w żłobku jako intendent – magazynier. Mąż mój pracował w II Armii Zakładu bawełnianego, ale także był piłkarzem, dlatego w domu byłam matką, gospodynią i służącą. Wszystkie prace spoczywały na moich rękach.

W 1976 w lutym urodziłam córkę – po urlopie macierzyńskim wróciłam do pracy. Nie było lekko, bo dzieci oddawałam do żłobka po 3 miesiącach. Praca moja polegała na przywiezieniu towaru, zaksięgowaniu i wydaniu oraz robieniu jadłospisu. W latach 70/80 ciężko było z towarem. Musiałam stać w kolejkach za towarem, do żłobka, żeby cokolwiek dostać. Stałam od 6 rano z dziećmi, żeby być pierwszą w kolejce. Dzieci mi nie raz zabierały panie z biura i zawoziły do żłobka. Nie było lekko, ale jakoś człowiek wszystko wytrzymał. Sama musiałam zajmować się domem, bo męża prawie nie było, bo miał wyjazdy, mecze, zgrupowania piłkarskie, ale człowiek był młody i jakoś dawał sobie radę.

Dobre korzyści to miałam takie, że korzystałam z wczasów pracowniczych w jednym roku, a na drugi rok jeździłam na kolonię do pracy z dwójką dzieci. Nie było źle, brałam pożyczkę z kasy zapomogowej, spłacałam przez 10 miesięcy, żeby na drugi rok jechać na wczasy i jakoś to było. Dlatego wydaje mi się, że dzisiejsza młodzież ma trochę lepiej, ale ja nie narzekam. Brakuje trochę zdrowia, ale oby tak dalej.

Helena K.

W roku 1974 zdałam maturę „z wyróżnieniem” w Świdnicy. Było to Liceum Pedagogiczne dla Wychowawczyń Przedszkoli - 5-letnie. We wrześniu ’74 podjęłam pracę jako nauczycielka w Przedszkolu przy zakładzie Przemysłu Bawełnianego „Silesiana” w Dzierżonowie. Zamieszkałam w przyzakładowym hotelu robotniczym we wspólnym pokoju z pielęgniarką pracującą w przyzakładowym ośrodku zdrowia oraz z dwoma koleżankami pracującymi jako tkaczki. Wspólna łazienka była na korytarzu.

Poznałam męża i w roku ’76 wyszłam za mąż. Zamieszkaliśmy w ponemieckim domku jednorodzinnym u jego rodziców w Bielawie, na poddaszu, nieocieplonym, bez wody i kanalizacji. Mieliśmy „ścięty” dachem pokój i małą kuchnię. On pracował jako ślusarz w Zakładzie Urządzeń Sterujących „Bester” w Bielawie na dwie zmiany. Jeszcze w ’76 jesienią, przyszedł na świat pierwszy syn, po 15-miesiącach – drugi.

Po 4 miesiącach urlopu macierzyńskiego wróciłam do pracy. Pracowaliśmy na zmiany, aby zapewnić dzieciom opiekę, czasem trochę pilnowała dzieci teściowa np. gdy zbiegły się nam zmiany, ale w zamian po powrocie z pracy musiałam pomagać w szklarni, bo teściowie byli ogrodnikami. Produkty żywnościowe to zapasy na zimę - owoce i warzywa przetworzone do słoików, soki, dżemy, przeciery, kiszone ogórki i sałatki oraz mrożonki. Otrzymałam od moich rodziców porcję wieprzowiny, podzieloną na porcje, dawałam do zamrażarki. Zakupy polegały na tym „kto, co zdobędzie”. I w zależności o tego, co zostało zdobyte, taki był obiad. Ze wsi od mojej mamy przywoziłam kurczaki i kaczkę więc był rosół, sama robiłam makaron, lepiłam pierogi. Gotowałam gołąbki, bigos. Ważnym elementem jadłospisu były „dary lasu”- maliny, jagody, grzyby. Grzyby obgotowane, poporcjowane- zamrażałam.

Były (już) mąż zupełnie nie angażował się w prace domowe, czy w opiekę nad dziećmi. Każdą ilość wody musiałam wnieść na I piętro (z parterem), zagrząć na gazówce, nagrzać gazem w kuchni, wykąpać dzieci w wanience, znieść wodę na dół. Zajmowało to dużo czasu. Jako nauczycielka w przed-

szkolu pracowałam ok. 5 godz. dziennie, więc szybko wracałam autobusem do domu.Komunikacja miejska Bielawa - Dzierżonów to autobusy. Wsiadałam na ostatnim przystanku w Bielawie i wysiadałam na pierwszym w Dzierżonowie. Autobusy były przeładowane i zdarzało się bardzo często, że w „godzinach szczytu” nie zatrzymywały się na przystanku „na żądanie”. Dlatego musiałam wychodzić z domu dużo wcześniej, aby nie spóźnić się do pracy.

Do Bielawy przybyłam po ślubie, nie miałam tam znajomych, rodziny ani koleżanek. Był duży problem z kupnem pieluch tetrowych dla dzieci. Na szczęście matki moich dzieci z przedszkola załatwiały i przynosiły mi po 10 pieluch, za co oczywiście płaciłam. Miałam ich ok. 40, to było zbyt mało, ale więcej nie miałam. Były mąż w tym czasie zajęty był przy budowie naszego domu, bywało, że z pracy szedł wprost na budowę. Nie miałam pralki. Jak już pisałam, nie znałam ludzi w Bielawie i nie miał mi kto „załatwić”.

Pieluchy prałam ręcznie w zimnej wodzie w proszku „Popularnym”, palce miałam zdarte od tego proszku do krwi, bo był bardzo żrący. A zimna woda u teściów na parterze w łazience była dlatego, że woda była grzana w bojlerze elektrycznym i teściowi szkoda było prądu (!!!) i nie mieliśmy nic do powiedzenia. Były mąż założył NSZZ „Solidarność” w swoim zakładzie „Bester” i dlatego, gdy został ogłoszony stan wojenny, cała nasza rodzina była szykanowana. Często był zatrzymywany na 24, 48 godzin, w domu mieliśmy nieustanne rewizje. Potem dowiedziałam się, że rzeczywiście w domu chował ulotki (zagrzebywał je w piwnicy w węglu). W tym czasie byłam w 3-ciąży, niestety, po rewizji i areszcie- poroniłam.

W ’85 r. urodziłam 3-syna (marzyłam o córce). Wtedy już było lepiej, łatwiej było przygotować wyprawkę dla dziecka, było więcej towarów (meble, sprzęt AGD, dywany, tekstylia), było też trochę więcej pieniędzy. Gdy starszy syn osiągnął wiek szkolny, pojawił się problem z odprowadzaniem i odbieraniem go ze szkoły. Przeniosłam się wtedy do Szkoły Podstawowej nr 1 w Bielawie. Starszy syn uczęszczał wtedy do 1-klasy, a młodszy do „zerówki”- również w SP nr 1 i ogarnęłam problem opieki nad starszymi dziećmi.

Gdy najmłodszy syn miał 3 lata - ’88r, mąż postanowił emigrować.

Wykupił w „Orbisie” wycieczkę do Jugosławii i wysiadł z pociągu w Wiedniu. Tam udał się do Obozu dla Uchodźców w Trajskirchen pod Wiedniem, gdzie przebywał ok. tygodnia, po czym „dostał przydział” w Aspong.

Zastanawialiśmy się nad wyjazdem całą rodziną do USA, była taka możliwość, pod warunkiem, że się przejdzie przez ten obóz. Po kilku miesiącach, gdy „zdobyłam” paszport na posterunku milicji w Dzierżonowie, również wykupiłam wycieczkę do Jugosławii w „Orbisie”, w Katowicach skoczyłam w pociąg „Chopin” i również wysiadłam w Wiedniu. Ze stacji odebrał mnie „były mąż” i zabrał mnie do „swojego” pensjonatu w górach, w lesie. Po drodze zajechaliśmy (pożyczył samochód od znajomego) do olbrzymiego centrum handlowego „Shopping” pod Wiedniem - byłam pod olbrzymim wrażeniem. Po niewyspanej nocy, gdy zasnęłam na parę godzin, po przebudzeniu byłam pewna, że ten „Shopping” to był sen. Pamiętam, że kupował dzieciom różne ładne rzeczy i słodczy, w drodze powrotnej miałam dodatkowo 1 torbę więcej. Postanowiliśmy, że wrócę do Austrii z dziećmi, aby razem emigrować do USA.

Po powrocie do domu zabezpieczyłam go, jak mogłam, bo nie wiedziałam co z nami dalej będzie. Wyrobiłam dzieciom paszporty i znanym sposobem- „wycieczka do Jugosławii” dojechałam w listopadzie do Wiednia z dziećmi. Ale chcąc ubiegać się o azyl dla uchodźców w USA, musiałam z dziećmi przejść przez obóz dla uchodźców w Trajskirchen. To był horror! To nie było miejsce dla kobiet i dzieci! Po tygodniu horroru (zimna woda, łazienki bez zasłon, śmierdząca sala, 40 osób, piętrowe łóżka, kobiety i mężczyźni z całego świata). Niestety w tym czasie USA wstrzymywały przyjmowania uchodźców, ale zgłosił się po naszą rodzinę, aby sponsorować nasz wyjazd, Kościół Ewangelicki w Kanadzie. Mąż nie chciał jechać do Kanady, wobec tego wróciliśmy do Polski po jednym roku.

Mąż nie wrócił do pracy „w Besterze”, zajął się ogrodnictwem. Ja podjęłam pracę w Szkole Podstawowej Nr 10 w Bielawie. Dzieci wróciły do szkoły. Dobrze, że nie sprzedałam domu (przed wyjazdem do Austrii sprzedałam samochód, sprzęt sportowy letni i zimowy).

Krystyna Jurczyk

Za mąż wyszłam latem 1975 roku, mając 23 lata. Po roku urodziłam pierwszego syna, a pod koniec 1977 – drugiego. Przez rok mieszkaliśmy kątem u rodziców. Udało nam się kupić (po znajomości) pokój z kuchnią – 38m2. Byliśmy bardzo szczęśliwi, że na swoim.

Pamiętam lato 1975 – przyjechał do nas kuzyn z żoną z Francji. Czulałam się poniżona, zawstydzona, gdy wyciągałam z kosza wyrzucone przez Francuzkę rajstopy. Oddawałam je do punktu repasacji pończoch i cieszyłam się z zapasu rajstop. Nie wspomnę już o perfumach, ubiorach, kosmetykach.

Wyjeżdżaliśmy z dziećmi na wczasy nad morze, na jeziora, w góry.

Nie zapomnę 13 grudnia 1981 roku, kiedy to sąsiedzi przychodzili od rana, pytać czy u nas też nie ma obrazu w telewizorze. Po tym strajki, niepewność, kartki na żywność, wiece, pochody, godzina policyjna, przepustki do innego miasta, dary żywności zza granicy.

Pod koniec 1983 roku kupiliśmy stary ponemiecki dom z półhektarową działką. Mimo woli staliśmy się rolnikami. I znowu walki z bzdurnymi przepisami, załatwianie fikcyjnych zaświadczeń, że się pracowało w gospodarstwie rolnym. Odtąd ja sama jeździłam z chłopcami na wczasy, a mąż mimo woli stał się ogrodnikiem.

Chłopcy pokończyli studia, pracują, założyli rodziny, a my jesteśmy szczęśliwymi dziadkami dwóch wnuków – 15 i 4 latka.

Oglądając się wstecz, mogę powiedzieć za klasykiem „*Obyś w ciekawych czasach żył*”. Ja żyję w ciekawych czasach. Pamiętam ważne daty, przemiany polityczne, satysfakcje życiowe i to jak potrafililiśmy wyciągnąć z życia to, co najlepsze.

URUSZLA RADZIKOWICZ

Zaczęła się praca, na trzy zmiany, na dość ciężkim oddziale neurochirurgii. Bywało ciężko, zwłaszcza, że nie miałam na tym oddziale wcześniej praktyk.

Przez koleżankę z pracy poznałam mojego obecnego męża. Dość szybko zdecydowaliśmy, że chcemy być razem. Niedługo potem wzięliśmy ślub. Pewnie to zaważyło o tym, że dostałam ze szpitala niewielkie mieszkanie służbowe. Mieszkanie jednopokojowe z ciemną kuchnią. Ale własne.

Zaczynały się czasy, kiedy trudno było kupić meble, pralkę, lodówkę, a my musieliśmy się jakoś urządzić. Z pomocą rodziny i znajomych udało się. Właśnie w tych trudnych latach siedemdziesiątych urodziła się moja córeczka. Brakowało ubrańek, pieluszek. Wszystko było na kartki, nawet cukier. Trzeba było wszystko wystać w kolejkach. Oboje z mężem pracowaliśmy na zmiany, żeby zapewnić opiekę dziecku. Nie mogłam liczyć na pomoc mamy, która by się wtedy bardzo przydała. Zdecydowaliśmy się więc na żłobek, później na przedszkole, ale było to kosztem dziecka, które często chorowało. Było mi ciężko pogodzić pracę na zmiany z opieką nad córeczką. Zmieniałam więc pracę na jednozmianową i popołudniami mogłam być z dzieckiem.

Po ośmiu latach urodził się mój syn. Znów zdobywanie wyprawki dla dzieci, po które stało się godzinami w kolejkach. W mieszkaniu zrobiło się ciasno, brakowało miejsca na zabawę dla córeczki i miejsca na odpoczynek, ale mieliśmy syneczka. Bywało ciężko, bo zaczęło się szkoła córki i trzeba było zająć się maleństwem. Po trosze odwykłam już od nieprzespanych nocy. Karmienia na czas, przyrządzanie zupek i soków. Ale to wszystko wynagradzało gaworzenie, pierwszy uśmiech, pierwsze kroki. Była radość, którą daje macierzyństwo. To naturalne, że rodzi się w nas troska, poświęcenie i miłość do dziecka. Czułam się wtedy spełniona jako żona i matka.

Dzieci zaczęły dorastać, było trochę czasu na wypoczynek i wspólne wyjazdy. Przyszedł też czas, kiedy zaczęły się likwidacje przychodni, oddziałów z braku pieniędzy. Pracowałam często, dostając wypłatę na raty. Przeszłam na zasiłek dla bezrobotnych. Zdecydowałam się na wyjazd do Włoch,

już jako prawie pięćdziesięcioletnia pielęgniarka. Potrzebowaliśmy pieniędzy, ponieważ nasz syn szedł na studia.

Nie było łatwo. Rozpoczęłam naukę języka. Potem kontynuacja nauki w szkole we Włoszech przez sześć miesięcy. Musiałam zdać egzamin z włoskiego przed włoską izbą pielęgniarską, by dyplom został tam uznany. Udało się. Byłam z siebie dumna, że dałam radę. Zaczęłam pracę i znów łatwo nie było. Włosi bardzo nam pomagali, zwłaszcza oddziałowy, który starał się, żebyśmy dobrze czuli się w pracy.

Myślę, że emigracja uczy pokory, bo jednak nie jest się u siebie. Trudno tak do końca zintegrować się z kolegami z pracy. Ale ten czas był też czasem na poznanie innego kraju, obyczajów i zwiedzania. Włochy są piękne. Zawsze lubiłam podróże, więc po trosze marzenia się spełniły. Poznałam też wielu obcokrajowców. Wśród koleżanek w pracy były Peruwianki, Albanki, Rumunki i Serbki. Dogadywałyśmy się po włosku, ucząc się w ten sposób języka.

Trudna była dla mnie jednak rozłąka z rodziną. Tęskniłam za dziećmi i mężem. Mimo że kontakt umożliwiał telefon i skype, ale być blisko to co innego. Mąż i dzieci odwiedzali mnie, chociaż na krótko, ja też przyjeżdżałam na urlopy do domu. Ależ wtedy było dużo radości.

Po czterech latach, bo na tyle opiewał kontrakt, który musiałam przepracować, wróciłam do domu. Wtedy urodził się mój kochany wnusio, Maksymilian. Zostałam babcią.

Byłam wtedy i dalej jestem najszcześniejszą babcią. Ten czas, już na emeryturze wypełnia radość bycia z wnuczkami. Jako dziadkowie uczymy się na nowo poznawać świat dziecka, a to daje nam wiele radosnych chwil.

Teraz jest czas na podróże, choć krótkie, zbieranie grzybów, spacer. Teraz czekamy z mężem na przyjazd dzieci, żeby ich gościć i pobyć razem. Czekamy też na wnuki od syna, który w tym roku ożenił się.

Grażyna

Dorosłość, w którą weszłam przypadła na lata 70-te, skończyłam właśnie 19 lat, wyszłam za mąż i urodziłam syna. Były to lata trudne, ponieważ wszystko zostało wywrócone do góry nogami. W systemie, w którym żyliśmy, zmuszeni byliśmy wszystko zdobywać, bo brakowało wszystkiego. Moje dzieci były wychowywane na pieluchach z tetry, które nie było łatwo zdobyć. Prało się w pralce wirówce (Frani), gotowało się w kotle na kuchence gazowej z dodatkami mydła. Zapach roznosił się po całym mieszkaniu. Pierwsze mleko w proszku też było trudne do zdobycia, zupki, soczki itp. były wykonywane przeze mnie.

Świat się kręcił koło moich najbliższych, wspólne spacer. i dom to było to, co nas wtedy cieszyło. Po trzech miesiącach macierzyńskiego musiałam wracać do pracy, innej możliwości nie było. Pomocy ze strony rodziców nie było, ponieważ moja mama jeszcze pracowała, a tato już śmiertelnie zachorował. Dzieci były skazane na wychowanie w żłobku, a później w przedszkolu.

Życie w tym okresie było szare i bez żadnej nadziei na coś lepszego. Sytuacja w kraju była niewyraźna. Wszedł okres wielkiej reorganizacji na wszystko. Zdobywanie żywności, produktów przemysłowych, był czas, że nawet buty były reorganizowane. Jedyną pozytywną sprawą były tak zwane fundusze socjalne, które były tworzone w zakładach pracy. Wtedy można było wyjeżdżać na wczasy do ośrodków wczasowych, przeważnie w te same miejsca. Istniały też kolonie dla dzieci. Istniały też stołówki zakładowe i sklepy przyzakładowe.

Zdobywanie tych wszystkich produktów takich jak: meble, dywany, firanki na zasadzie zamienników ze znajomymi zajmowało nam dużo czasu. Ale zdobycie czegokolwiek było dużą frajdą.

Moda jaką naśladowaliśmy z czasopism zagranicznych p.t. „Burda” i „Świat Mody” były naszą inspiracją. Szyłyśmy same sukienki, robiłyśmy na drutach, także z niełatwo zdobytych surowców.

Zdobycie radioodbiornika czy telewizora w tych latach było nie lada gratką, wszystko wystane w kolejkach, zapisach, czy kupione na kartki.

W zakładach pracy my matki miałyśmy dużo mniejsze możliwości od naszych mężów, mężczyzn. Wiązało się to z tym, że my chodziłyśmy na zwolnienia lekarskie na nasze dzieci. Z tego też powodu miałyśmy mniejsze szanse na awans, zabierano nam premie i różnego rodzaju dodatki.

Czasy kartkowe były też motywacją do robienia wciąż dużych zapasów w postaci weków, suszonych herbatek itp.

Mimo tak wyczerzonego czasu pracy - mieliśmy też czas na rozrywkę, wspólne zabawy. Stroiliśmy się w te nasze zrobione ciuchy. I żyło się dalej.

ALICJA ŁUKOWSKA

Moje macierzyństwo przypada na lata 60 i 70. W roku 1964 urodziłam pierwsze dziecko. Pieluchy zdobywałam przez okres ciąży. Tetrę kupowało się okazjnie, jak była dostawa w sklepie, flanelę też. Szyłam sama pieluchy. Myślę, że propaganda lekarzy, aby karmić dziecko co 4 godz. przyczyniła się do tego, że szybko straciłam pokarm. Karmiłam butelką. Później na zupki jarzynowe kupowałam gołąbki u zaprzyjaźnionego sąsiada hodowcy. Młoda córka bardzo lubiła zupki z mięsem.

W sklepach kolejki. Dla matki z dzieckiem były pewne ulgi (chyba co piąta).

Nie pracowałam. Poświęcałam czas dziecku. Mąż skończył studia na Politechnice Poznańskiej. Na sobotę i niedzielę jechał do Poznania, a ja z dzieckiem do Polanicy do mamy. W Polanicy miałam znajomych, koleżanki. Miło spędzaliśmy ten czas.

W roku 1971 urodziłam syna. Kartek na żywność jeszcze nie było, ale trudności z zaopatrzeniem tak.

A może rzeczywiście wszystko się nam przyśniło: /STANGRET, KARETA, WIECZÓR, MÓJ FRAK I TWÓJ TREN,/ I NASZE ŻYCIE TWARDE I SŁODKIE JAK SEN./ NIE BYŁOBY MAŁŻEŃSTWA, GDYBY NIE NASZA MIŁOŚĆ.

KRYSTYNA STANIKOWSKA

Egzamin magisterski zdałam dziewięć i pół miesiąca po ślubie. Wcześniej, 1 września pamiętnego 1980 r. poszłam do pracy do I Liceum. Było to bardzo nietypowe jak na dzisiejsze czasy stanowisko: nauczyciel – opiekun szczepu. I tu wkraczamy na teren dziwacznych zjawisk PRL – u. Dyrektor – aparaczyk, gotów zrobić wszystko dla przypodobania się władzy rok wcześniej zarządził, że każda klasa jest drużyną HSPS (Harcerskiej Służby Polsce Socjalistycznej). Wyzaczył jeden dzień mundurowy w tygodniu, kazał wówczas uczniom chodzić w trzydziestkach (to były takie beżowe bluzy z czerwoną krajką wiązaną pod kołnierzykiem).

Ja w swej pierwszej pracy miałam 6 godzin dydaktycznych, w czasie których 4 godziny tygodniowo uczyłam w klasie pierwszej polskiego, 2 godziny zajmowałam się zespołem wokalnym do spółki z wykształconą muzycznie koleżanką, a resztę czasu poświęcałam harcerstwu. Zmieniłam zwyczaj, czym od razu naraziłam się dyrektorowi. Z dziesięciu drużyn zrobiłam dwie. Uznałam, że do harcerstwa należy się z potrzeby, a nie z przymusu. Mój szczep był szaro – zielony, a nie beżowo – czerwony. Byłam harcerką idealistką. Pamiętam, że w październiku 1980 r. podczas Walnego Zjazdu Instruktorów i wyborów w Hufcu Ziemi Gliwickiej wygłosiłam płomienne przemówienie o złych zwyczajach, jakie panowały w mojej szkole. Przetrwalam w tej przedziwnej pracy, mimo fatalnego zachowania dyrektora, który potrafił zniechęcić do zawodu największego idealistę. Zdecydowanie „wiatr odnowy wiał” i na szczęście w kwietniu 1981 r. zmienił się dyrektor. Dzięki temu mogłam nie tylko pojechać do Warszawy na zlot Kręgu Instruktorów Harcerskich im. Andrzeja Małkowskiego, gdzie mieliśmy spotkanie ze Stanisławem Broniewskim (pseudonim Orsza) oraz Anną Walentynowicz, ale także zakończyć moją współpracę z licealnym szczepem wspaniałym obozem wędrownym na Mazurach. Na koniec wędrowki pojechaliśmy do Warszawy na wystawę „70 lat harcerstwa” w Muzeum Woli, a przy grobie Aleksandra Kamińskiego świeżo upieczeni harcerze złożyli przyrzeczenie.

Po ślubie zamieszkaliśmy z mężem u mojej Babci Jany. My w jednym pokoju, Babunia w drugim. Marzyło nam się własne lokum, ale nie było na nie widoków. Byłam zapisana do spółdzielni mieszkaniowej, ale własne mieszkanie to była melodia przyszłości. We wrześniu 1981 roku poszłam do pracy w szkole podstawowej. A w grudniu wybuchł stan wojenny. Mój Tato poradził nam, byśmy napisali do spółdzielni podanie o tzw. mieszkanie rotacyjne. Nie dostaliśmy odpowiedzi w ustawowym dwutygodniowym terminie, więc poszliśmy do komisarza wojskowego. A ten, po zapoznaniu się z naszą sprawą, chwycił za telefon i zadzwonił do prezesa spółdzielni. Władze komunistyczne bardzo się chciały wówczas przypodobać młodym ludziom. Zostaliśmy umówieni na spotkanie i rozmowę ze Społeczną Komisją Mieszkaniową. 1 kwietnia 1982 roku przydzielono nam małe dwupokojowe mieszkanie. A 1 kwietnia 1983 r. urodził się mój syn...

Mój mąż, który w 1982 roku został magistrem inżynierem i dostał pracę w Bumarze Łabędy, w 1983, miesiąc po urodzinach synka, poszedł na rok do wojska. To był chrzest bojowy dla mnie. Zostałam sama z malutkim dzieckiem. Na szczęście po szkole podoficerskiej w Pile, dzięki znajomościom mojego wujka pułkownika przeniesiono go bliżej i mógł dojeżdżać na służbę z domu.

W 1984 roku wróciłam do pracy, a w 1985 r. zmieniłam szkołę na zawodową przyzakładową. W sierpniu 1986 roku otrzymaliśmy informację o możliwości wyboru mieszkania spółdzielczego. Dostaliśmy czteropokojowe mieszkanie na nowo budowanym osiedlu Waryńskiego, naprzeciwko którego powstał w latach 90. gliwicki Opel. To było wielkie szczęście. Duże mieszkanie, piękne osiedle, które rozwijało się z roku na rok. Czy można było sobie wymarzyć lepszy los?

W grudniu 1989 r. urodziłam córeczkę – rodzina była w komplecie. Dla pełni szczęścia podczas urlopu wychowawczego w 1990 r. poszłam do pracy w niepełnym wymiarze godzin do pobliskiej szkoły. Uczyłam polskiego cudowną klasę czwartą, której wychowawczynią byłam przez cztery lata. Do dzisiaj z rzewnieniem wspominam te dzieciaki. Przez cały czas pracy w tej szkole miałam cudowną dyrektorkę, która dawała nauczycielom zapaleńcom dużo swobody. To był piękny i potrzebny czas w naszym małżeńskim życiu. Pracowaliśmy, wy-

chowywaliśmy dzieci, spotykaliśmy się ze znajomymi, których sporo dostało mieszkania na tym osiedlu. Wyjeżdżaliśmy na wakacje do Wisły, Brennej, Ustroń, Szczawnicy, Żarek czy nad morze. Spędzaliśmy mnóstwo czasu z rodziną.

Kiedy nastąpiła era gimnazjum, zaczęłam uczyć w tej szkole, która powstała przy mojej szkole podstawowej. Wcześniej zrobiłam pierwszy stopień specjalizacji zawodowej, a niebawem, w 2001 roku, rozpoczęłam staż na stopień nauczyciela dyplomowanego. Działałam wówczas także w Stowarzyszeniu Nauczycieli Polonistów i wyjeżdżałam na różne spotkania, warsztaty, konferencje.

Bardzo dużo się działo w moim życiu zawodowym. A w rodzinnym? Syn skończył liceum i poszedł na psychologię. Córka w tym samym roku poszła do gimnazjum. A mąż? Mąż wtedy stracił pracę... Nastąpił bardzo trudny czas w mojej rodzinie. Ale gdyby tak się nie stało, nie brałabym udziału w projekcie ASOS – u: „Tradycja łączy pokolenia”.

Niezwykłym dniem był czwartek przed feriami zimowymi – 23 stycznia 2003 r. W szkole podczas konferencji dyrektorka poinformowała mnie, że otrzymałam stopień nauczyciela dyplomowanego i wręczyła mi przepiękny bukiet żółtych tulipanów. Mój syn przywiózł z Opola małą zalęknioną sunię, którą nazwał Misia i która była naszym pierwszym ukochanym psem. A mój mąż zadzwonił z drogi, że dostał pracę w Wałbrzychu.

I znowu nastąpiły zmiany. Mąż Wojtek od 1 lutego zaczął pracę w Wałbrzyskiej Strefie Ekonomicznej, a ja z dziećmi zostałam w Gliwicach. Rozłąka była trudna, szczególnie dla córki. Nasza sytuacja finansowa się ustabilizowała, ale dobrze mówi przysłowie, że „pieniądze szczęścia nie dają”. W pierwszych miesiącach nowej pracy mąż przyjeżdżał do domu bardzo rzadko, czasem raz na cztery tygodnie. Najlepiej było w wakacje, kiedy mogliśmy być razem i w wolnych dla niego chwilach zwiedzać Dolny Śląsk. Dlatego po dwóch latach podjęliśmy decyzję o przeniesieniu się w okolice Wałbrzycha. Córka właśnie skończyła gimnazjum, zatem szkołę średnią zaczęła już w Wałbrzychu. Ja wzięłam tzw. urlop dla poratowania zdrowia. Syn, człowiek dorosły, postanowił zostać w Gliwicach. Początkowo zamieszkaliśmy w wynajętym mieszkaniu, ale już wkrót-

ce kupiliśmy pod Wałbrzychem ziemię i rozpoczęliśmy budowę małego domu. Nieustannie podróżowaliśmy między Górnym a Dolnym Śląskiem, bo przecież w Gliwicach zostawiliśmy całą rodzinę: syna, moją mamę, teściów oraz moją siostrę z rodziną.

W grudniu 2006 roku po licznych perypetiach wprowadziliśmy się do na wpół wykończonego domu. Ja pracowałam wówczas w Zespole Szkół Ogólnokształcących w Żarowie – w jedną stronę dojeżdżałam 25 kilometrów. Z tej szkoły poszłam na wcześniejszą emeryturę, ale jeszcze do tego roku zdarzało mi się dorywczo pracować w różnych szkołach. Córka w 2008 roku zdała maturę i wyjechała na studia. I tak zostaliśmy sami w naszym małym domku.

Życie w niedużej wiosce zobligowało mnie do integracji z żyjącymi w niej ludźmi. Zaczęłam się udzielać w pogorzalskim zespole wokalnym „Kalina”, który był częścią zespołu „Ale Babki”. Od 2007 roku prowadziłam w wiosce świetlicę środowiskową dla dzieci. Zaangażowałam się w organizowanie festynów rodzinnych, by zdobyć fundusze na wycieczki dla dzieci. Moja działalność społeczna została dostrzeżona i w 2011 r. wybrano mnie na sołtyskę. To była bardzo odpowiedzialna funkcja. Razem z Radą Sołecką i Kołem Gospodyń Wiejskich staraliśmy się organizować różne imprezy. Do dzisiaj pomagam, choć sołtyską przestałam być w 2015 r.

W 2011 roku mój syn się ożenił. W tym samym roku zabraliśmy do siebie mamę Wojtka, która owdowiała dwa lata wcześniej i nie mogła już sama mieszkać. W naszym małym domku zrobiło się gwarniej i ciekawiej.

Trzy lata później, w styczniu, zostaliśmy dziadkami – urodził się nam wnuczek. I nastąpił inny cudowny czas – zesłaliśmy na dziady!

W tym samym roku, we wrześniu, dzień przed Dożynkami Gminnymi odeszła nasza suczka Misia. Los chciał, że dziesięć dni po jej odejściu przygarnęliśmy inną bezdomną sunię, którą nazwaliśmy Daisy. W końcu mieszkamy w otulinie Książąńskiego Parku Krajobrazowego – to do czegoś zobowiązuje. Nasza Daisy jest już z nami ponad cztery lata.

HALINA B.

Moje macierzyństwo zaczęło się w 1973 roku. Miałam 3 miesiące urlopu macierzyńskiego. Rodzina pomagała mi się zorganizować w domu, w radzeniu sobie z dzieckiem. Było ciężko, pralka „Frania”, brak ciepłej wody, gazu i pampersów. Pamiętam to jak jeden kierat. Kiedy skończył się urlop, wróciłam do pracy i odżyłam. Pracowałam w zakładzie fizycznie więc głowa była wolna i miałam czas na rozmyślania. Myślałam więc jak to sobie wygospodarować trochę czasu dla siebie po pracy. Mój mąż był w tym czasie w wojsku, byłam więc sama. Rodziców i teściów miałam daleko, skazana byłam na samą siebie. Więc kiedy wróciłam do pracy, miałam żłobek przyzakładowy, obiad na stołówce, nie gotowałam i to już była duża ulga. Dziecko rosło, lata mijały. Potem przedszkole, szkoła, zmiana pracy i drugie macierzyństwo w 1982. I tu już byłam bogatsza o doświadczenia z życia.

Miałam w domu gaz, automat do prania, męża w domu i syna 10-letniego do pomocy. Przy drugim dziecku, pomna tego, że dzieci żłobkowe często chorują, postanowiłam wziąć urlop bezpłatny (po macierzyńskim) i nie dawać córki do żłobka. To były wspaniałe 2 lata, dziecko zadbane, dom też, obiadek na czas i ja ciągle na spacerkach. Ale wszystko się kiedyś kończy. Wróciłam do pracy, dziecko do przedszkola, drugie do szkoły. Pracowałam od 7:00 do 15:00, więc miałam bardzo regularnie ustawiony dzień. Obowiązki też podzieliliśmy między siebie.

Były to jednak czasy ciężkie, kartkowe, braki w zaopatrzeniu.

Czasami nie chce mi się wierzyć, że dałam radę, pranie, gotowanie, sprzątanie i działka, aby dzieci jadły ekologicznie i zdrowo. A w pracy trzeba było zapomnieć o domu i skupić się, bo groźba jej utraty była straszna. Następowaly czasy prywatyzacji zakładów, upadłości. Często martwiłam się o to, czy dam radę odchowac dzieci, wykarmic zanim dorosną i pójdą na swoje.

Dzieci wyrosły na wartościowych ludzi, założyły rodziny. Jestem z nich dumna. Są daleko ode mnie, ale staram się ich odwiedzać, gościć u siebie. Dziś mam poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

ELŻBIETA

W roku 1978 wyszłam za mąż. Musiałam zająć się zarówno pracą zarobkową, jak i domem. Gotowanie, sprzątanie, pranie, to codzienność. Najczęściej gotowało się na obiad rosół z wołowiny. Później ją się podsmażało i było drugie danie.

Pracowałam w zakładach włókienniczych w biurze. Kiedy nastala Solidarność w pierwszej kolejności zwolniono mnie, bo pracowałam w jednym zakładzie z moim mężem. Zwolnili mnie, bo nie miałam dzieci. Takim sposobem zostałam bezrobotna. Poprosiłam o skrócony okres wypowiedzenia, żeby dostać większe pieniądze i stworzyć sobie jakąś pracę.

Otworzyłam działalność gospodarczą. Sprzedawałam zapiekanki. Tak doszłam do przyjęć okolicznościowych, wesel, sylwestrów. Otworzyłam bary i tak toczyło się moje życie: praca, praca, praca. Dzieci nie miałam więc poświęcałam się pracy. Gotowałam po nocach. Jakoś sobie radziłam. Było jednak ciężko. Zanim otworzyłam własną firmę, robiłam wszystko, żeby mieć jakiegokolwiek pieniądze: piekłam torty, robiłam swetry, łapałam każdą taką pracę. Moje życie zdeterminowała praca, bez urlopu. Bo lato, to dopiero było co robić – prowadziłam letni bar. Wszystko kosztem zdrowia

Podczas stanu wojennego i po nim kobiety bezdzietne były źle traktowane. Kiedy wprowadzono kartki na wszystkie produkty mięsne, słodyczne, napoje alkoholowe, papierosy, cukier, masło itd. miałam mniejsze przydziały. Bo nie na dzieci. Wszystko musiałam wystać w kolejce.

Pamiętam też godzinę policyjną. Po 20:00 nie wolno było wychodzić z domu. Ten okres, to najcięższy czas mojego życia. Nie można było wyjechać za granicę.

Dziś jest jednak lepiej. Nasze pokolenie przeżyło sporo.

ROZDZIAŁ IV. GŁOS NASZEGO POKOLENIA.



KROKI MIŁOWE NASZEGO POKOLENIA. SUBIEKTYWNY WYBÓR UCZESTNIKÓW

1945 - Exodus Polaków na Ziemię Odzyskaną

1948 - 1989 PZPR

1950 - walka z analfabetyzmem

5.03.1953 - śmierć Stalina

1953 - na rynku pojawia się pierwsza rodzima pralka wirnikowa Frania

1956-1970 - Rządy Gomułki

1960 - Radio i Telewizja

8–23.03.1968 - kryzys polityczny, przymusowe wysiedlenia Żydów

14–22.12.1970 - zamieszki na Wybrzeżu

Obchody pierwszomajowe, wesołe miasteczka i festyny

16.10.1978 - Karol Józef Wojtyła zostaje wybrany na papieża i przyjmuje imiona Jan Paweł II

1980-1989 - Solidarność

1976-1985 - okres reglamentacji towarów, kartki, kolejki, zapisy, puste półki sklepowe, strajki, przepustki

13.12.1981 - 22 lipca 1983 - Stan Wojenny, ZOMO

1989 - Okrągi Stół, upadek muru berlińskiego

1990 - powstanie marketów handlowych, półki pełne towarów

Reprywatyzacja gospodarki, upadki zakładów pracy

1995 - denominacja złotych

12.03.1999 - przyjęcie Polski do NATO, otwarcie granic, wyjazdy bez paszportów, telefony komórkowe

11.09.2001 - zamach terrorystyczny na World Trade Center

1.05.2004 - powrót do cywilizacji, Polska członkiem Unii Europejskiej

2 kwietnia 2005 - śmierć papieża Jana Pawła II, trauma narodowa

ODDAJMY GŁOS UCZESTNICZKOM PROJEKTU

– URSZULA

Nasze pokolenie, to pokolenie czasów socjalizmu, stanu wojennego, wyboru papieża Polaka, wejścia Polski do Unii Europejskiej. Wszystkie te wydarzenia kształtowały nas. Zostały w naszej pamięci, mniej lub więcej.

Ogłoszenie stanu wojennego było czasem jakiegoś nieopisanego strachu. Pracowałam wtedy w stacji krwiodawstwa i 13 grudnia miałam dyżur. Pamiętam, że nie działały telefony, tylko teleks. Radiostacja nadawała raporty o stanie krwi w punktach krwiodawstwa i liczbie łóżek w szpitalach.

Miałam małe dziecko, więc myślałam, że gdyby coś się stało, co z nim będzie? Były też nocne wyjazdy do punktów krwiodawstwa, wszędzie rozpalone były kosiarki, bo zima wtedy była mroźna. Jechałam z kierowcą Żuka i co kawałek drogi sprawdzano nasze dokumenty. Bałam się i myślałam tylko w głowie, że nie dojdzie do wojny. Nie dojdzie.

Te wspomnienia czasem do mnie wracają.

Myślę również, że wybór Polaka na papieża był dla naszego pokolenia ważnym przeżyciem. Byliśmy dumni, że to Polak został wybrany wśród kardynałów na Stolicę Piotrową. Potem po latach, kiedy rozpoczęłam pracę we Włoszech, moi koledzy z pracy utożsamiali nas z „Papą Wojtyłą”. Byłam wtedy dumna.

Myślę, że z historii najnowszej wejście Polski do Unii Europejskiej pomogło naszemu pokoleniu przezwyciężyć pewne lęki i przyzwyczajenia. Otwarcie granic to było takie okno na świat. Dla pokolenia bez paszportów było to cenne doświadczenie. I rynek pracy, który otworzył się na zachód. Dla nas Polek wejście do Unii oznaczała nostryfikowanie naszych dyplomów, koleżanki z Albanii czy Rumunii już tak nie miały.

– STANISŁAWA SKURCZYŃSKA

Z wydarzeń, które wywarły duży wpływ na losy kraju, a także na mnie, na moje pokolenie pamiętam wybór Karola Wojtyły w 1978 r. na papieża. Czułam się dumna, że Polak osiągnął najwyższe stanowisko w Kościele. Tym bardziej, że to Góral z Wadowic, położonych niecałe 20 kilometrów od mojej rodzinnej wioski. Religii w szkole uczył mnie kardynał Dziwisz, osobisty sekretarz papieża. Do czasu jego powrotu do kraju sądziłam, że to będzie ktoś, kto zreformuje choć trochę nasz Kościół, niestety zawiodłam się.

Drugą ważną sprawą, niedocenianą przez młodsze pokolenie było wstąpienie w 2004 r. do Unii Europejskiej i 2007 r. do strefy Schengen.

A JAK STAWALIŚMY SIĘ DOLNOŚLĄZAKAMI?

Mieszkanką Dolnego Śląska stałam się w 1974 r. Przyjechałam do Wałbrzycha z Krakowa, ponieważ mąż po ukończeniu studiów rozpoczął pracę na KWK „Thorez”. Żał mi było opuścić Kraków, piękne zabytkowe miasto z niepowtarzalną atmosferą. Wałbrzych wydawał mi się dość smutny, zadytmiony. Funkcjonowały wtedy kopalnie i koksownie. Jednak trzeba się było dostosować do nowego miejsca.

Zaczęliśmy pracować, dostaliśmy pierwsze mieszkanie. Było to mieszkanie w starym budownictwie (poniemieckie osiedle dla pracowników kopalni). Nie było żadnych problemów z przystosowaniem się do tego miejsca.

Wałbrzych wrócił do Polski po wojnie w roku 1945, po kilku wiekach. Mieszkańcy prawie w całości to ludność napływowa z różnych rejonów kraju, także repatrianci z Francji i Wschodu. Stworzyła się tutaj mieszanka różnych ludzi i kultur. Nie wykształciła się jakoś lokalna tradycja. Rodzice męża

Pamiętam nasze wyjazdy do Chorwacji (wtedy Jugosławia) i godziny spędzone na kontrolach granicznych. Teraz można swobodnie przemieszczać się po całej Europie, można studiować i pracować za granicą. W tej dziedzinie dokonał się olbrzymi postęp.

Pojawiły się też niekorzystne zjawiska jak np. terroryzm. Pamiętamy zamachy na World Trade Center w 2001r. i wiele innych zamachów z użyciem bomb i broni palnej w innych krajach.

Problemem stała się też masowa niekontrolowana migracja, z którą Europa od lat nie może sobie poradzić.

przyjechali do Wałbrzycha w r. 1947 z okolic Krakowa i byli pierwszym pokoleniem osiadłym na tym terenie. Mąż urodził się też w tym mieście. Pomału zaczęłam poznawać ten region i doceniać jego zalety.

Pamiętam codzienne wędrowki po okolicznych górach, również po Górach Izerskich, Karkonoszach i niezwykle piękne widoki. Jest tu też wiele wspaniałych zabytków. Najbardziej spodobało mi się opactwo Cystersów w Krzeszowie. Teraz, gdy odwiedza nas rodzina lub znajomi, zawsze ich tam zawozimy i są zachwyceni. Oczywiście wszyscy oglądają też Zamek Książ, który stał się wizytówką miasta.

Pracowałam w szpitalu, stacji krwiodawstwa i Szkole Integracyjnej nr 36 do emerytury. Niezwykle szybko zleciały te 44 lata na Dolnym Śląsku. Trudno powiedzieć, czy stałam się dolnoślązakiem, bo nie bardzo wiem, co to oznacza. Mimo tylu lat tęsknię zawsze za Krakowem i rodzinnymi stronami.

Nie da się opowiedzieć o ludziach, o ich historiach bez głębszej analizy - skąd pochodzimy, gdzie tkwi nasza tożsamość. Dlaczego jesteśmy tacy, jacy jesteśmy.

Dolny Śląsk i jego mieszkańcy to nie tylko historie pełne radości. To często wspomnienia bolesne, bo wyrosłe na tragicznych historiach czasów wojny i momentów tuż powojennych. Jedna z Uczestniczek warsztatów podkreślała wielokrotnie:

– nie da się opowiedzieć o ludziach, o ich historiach bez głębszej analizy – skąd pochodzimy, gdzie tkwi nasza tożsamość. Dlaczego jesteśmy tacy, jacy jesteśmy.

Tak. Dolny Śląsk to nie tylko miejsce niezwykle, które przechodziło w wirze historii z rąk do rąk. To przede wszystkim niezwykle ludzie

i ich korzenie. To tygiel wspaniałych kultur i tradycji. To piękny język polski, u niektórych z lekkim mazurzeniem, u innych z twardym „k” i „g”, które usłyszycie w opowieściach: „kedy byłem chłopcem...”, u innych z kolei ze śpiewnym zaciąganiem ze wschodu.

Coraz mniej wśród nas tych, którzy to słyszą, coraz mniej wśród nas, którzy tę różnorodność widzą i mają jej świadomość.

Spisujcie proszę swoje historie, zapisujcie je dla potomnych, by wiedzieli, dlaczego to pokolenie jest pokoleniem ludzi wrażliwych, pełnych wartości, otwartych na drugiego człowieka.





ASOS 2014-2020

Rządowy Program na rzecz Aktywności Społecznej
Osób Starszych na lata 2014-2020

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej

*Publikacja powstała w ramach projektu „Tradycja łączy pokolenia” realizowanego przez Fundację „Krzyżowa” dla Porozumienia Europejskiego
Projekt dofinansowany ze środków Rządowego Programu na rzecz Aktywności Społecznej Osób Starszych na lata 2014-2020*